Nr. 24 (1068). Warszawa, dnia 2 (15) Czerwca 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50. rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 30 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ: POLITYKA: Nowe drogi. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Maksym Gor'kij: Makar Czudra, tłom. Józ. Kw — ŻYCIE SPOŁECZNE: Listy z Wiednia, p. K. Radosławskiego. — Walka z bezrobociem, p. H Forsztetera. — FEJLETON: Pamiętnik. — BADANIA NAUKOWE: Telefonografia, p. W. U. — LITERATURA I SZTUKA: Literatura francuska, p. Wł. Jabłonowskiego. — Z muzyki, p. Wł. Bukowińskiego. — POEZYE: Pogrzeb, p. Maryę Grossek. — SPRAWY EKONOMICZNE: Nowy współzawodnik, p. dr. J. B. Marchlewskiego. — POLEMIKA: O prawdę, p. St. A. Kempnera. — Wiadomości urzędowe. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

Szan. Abonentów półrocznych i kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

NOWE DROGI.

Wielka rzeczpospolita amerykańska przedstawia dziś oku, umiejącemu przez osłony form patrzeć w głąb' treści, widok niezmiernie zajmujący: zaczyna się przeobrażać, przeradzać, przemieniać z jednej istoty w inną, jakąś nową, niewiadomą, nieznaną. Hamilton i Waszyngton wytworzyli rzeczpospolitą z ducha i z instytucyi tak rdzenną, że na początku minionego stulecia, że jeszcze podczas wielkiej wojny domowej 1861—5, uważano za prawdopodobne zerwanie się za Atlantykiem wielkiego wichru republikanizmu i demokracyi i przeciągnięcie nad Europą dla odświeżenia jej atmosfery dusznej i tłoczącej, innymi żywiołami pierś ludzką zasilającej, niż, zdawało się, w tym błogosławionym kraju, który wprawdzie raz już cudzego pożądał, zwycięzko do stolicy Meksyku wkraczać umiał, ale ani razu nie zboczył z drogi wytkniętej przez organizatorów i patryotów z epoki walki o niepodległość i nie mniej od niej zaciętej walki o konstytucyę — najwspanialsze dotychczas dzieło umysłu ludzkiego w zakresie prawa politycznego.

Aż do owej wojny, która, znosząc niewolnictwo i kastowość, zapewniając prawom człowieka panowanie nad całą nawskroś masą żywą ogromnego systematu społeczeństw, wchodzących w skład unii, pozwoliła rzeczypospolitej wyłonić się na świat jako mocarstwo — zasady wielkich mężów amerykańskich z wieku XVIII, zasady oświeconych, samowiednie żyjących tłumów, które wydobyły się z pod Anglii, były zasadami wielkiego zespolenia ludzkiego i w jego rządzie naczelnym wewnętrznym i w polityce zagranicznej: pożądliwość na cudze dobro hamować, zasadniczo się jej wyrzec, stać wytrwale na gruncie praw człowieka, przestrzegać jak największej swobody jednostek i grup społecznych u siebie, a darzyć chociby moralną, umysłową pomocą zbiorowości europejskie, walczące o swe prawa, trzymać się zdala od ognisk bezprawia i gwałtu, dawać schronienie ich ofiarom — ulepszać przytem ciągle byt swój i dążyć do rozwiązania w sposób konstytucyjny tego piekielnego węzła, który zadzierzgnęło odziedziczone już po epoce trzynastu osad, ulegających Anglii, niewolnictwo, a rozcięła dopiero wspaniała wojna, stoczona za prezydenta Lincolna— takie były przewodnie myśli, hasła i cele wielkiej rzeczypospolitej zaoceanowej. Mogła ona z dumą na Europę spoglądać, tam, gdzie miała istotne swe siedlisko, na północy, bo w hierarchii indywidualności dziejowych, tworzących dzieje, nie było nad nią wyższej.

Po wielkiej wojnie, ze zwycięztwem dobrej sprawy, w obronie człowieczeństwa i republikanizmu podniesionej, zaczęło się, mimo takiego znaczenia czynu, który olbrzymiością swoją świat zadziwił, coś psuć w tem amerykańskiem Commonwealth; zaczęło się skażenie najpierw uczucia, najgłębszego od wieków źródła życia, a potem i polityki, zarówno wewnętrznej, jak zewnętrznej. W epoce romantyzmu powiedzianoby, że szatan czyhał tylko na wyrzucenie instytucyi szatańskiej, aby się szponami wpić w samą istotę. Zaraz po zwycięztwie nad Południem przyszła pokusa prześladowania zwyciężonych—i skusiła; przyszła żądza terytoryalnego przyrostu i—również nie odeszła głodna. Wywiązały się różne nieprawe, pokurcze braterstwa i znieprawiły myśl, zaraziły uczucie, do owego czasu czyste i jasne. Wraz ze zniknięciem wzniosłego celu, jakim było zniesienie niewolnictwa, idealizm, sam jeden tylko zdolny utrzymać człowieka nad poziomem brutalnej nędzy, utracił wielką dla siebie wsporę, tworzywo dla serc i umysłów i energii. Ta energia zaczęła się materyalizować, podleć, spadać na padoły pospolitego groszoróbstwa i towarzyszących mu trądów oszukaństwa, podstępu i fałszu. Nowe osadnictwo, które się dokonywało za dni naszych na Far-Weście, nie było niczem podobne do owego pierwotnego, które rozkwitło w XVII w. wraz z Kwiatem Majowym Brownistów, uciekających z ojczyzny, co się im stała macochą, jędzą — przekleństwem. Wszędzie duch inny, inne skrzydła i loty niczem niepodobne do dawnych.

Społeczeństwo polityczne, w którem najważniejszą, przez długie lat pasmo, jest sprawa waluty. złotej czy srebrnej, które nie ma nic nad nią żywotniejszego, i bezkarnie zepchnąć jej ze swego porządku dziennego nie może — społeczeństwo takie musiało już wyzbyć się wyższych pierwiastków myśli i czynu — za michę soczewicy sprzedać dziedzictwo przodków. Jak się rzeczywiście przetworzyło, okazało po wojnie z Hiszpanią w opiece nad Kubą, w nowej wojnie, z Filipińczykami, z pod Hiszpanii wraz z Kubą wyzwolonymi. Teraz przychodzi już dowód niezbity: najczystsza, najniepodleglejsza nad całą konstytucyą straż trzymająca magistratura sądu najwyższego orzekła 5 głosami przeciw 4, że Unia ma prawo pozostawić te posiadłości swoje, które nie są ani stana-

mi, ani terytoryami, bez praw politycznych, bez samorządnej udzielności. Jest to wyrok mocarstwa, czującego swą siłę i doznającego wszystkich apetytów siły, a nie państwa, które w założeniu swojem i w organizacyi wypisało zasadę: wolność dla wszystkich. Skutek będzie taki, że Kuba otrzyma konstytucyę narzuconą, że z pod protektoratu, któryby ją od rozbojów międzynarodowych osłaniał, dostanie się pod zwierzchnictwo, które ją przez rozbój doprowadzi do podległości i uległości, aż ostatecznie zmęczoną i zmacerowaną zmusi do dobrowolnego niby wejścia w skład unii jako stan, politycznie zabity. Nad Filipinami ciąży groza rządów wojskowych. *Tout comme chez nous* — może zawołać radośnie Europa, i ma wszelkie do takiego okrzyku prawo. Niegdyś miała się ona zamerykanizować; teraz sama europeizuje Amerykę. Potęga mocarstwa pożąda też dla siebie i duszy mocarstwa: charakter rzeczypospolitej, z całą jej treścią, ustępuje pierwszeństwa innemu, który go zaciera. Zaczyna się panowanie na lądach i morzach. Nie wystarcza już wygłoszona przez Monroego w r. 1823 zasada: Ameryka dla Amerykanów; świat dla Stanów Zjednoczonych, wszystko co się da porwać ze świata — takie jest nowe hasło. Wcale nie płonne są obawy *Timesa*, rozwodzącego się nad niebezpieczeństwem; wcale nie czcze przewidywania Destournelles'a w Izbie francuskiej: Ameryka zacznie teraz Europie samej wydzierać jej kolonie. Najbliższą, najponętniejszą i jakby narzucającą się jest Kanada: Anglikom już prześwituje to, co się stanie za lat może kilkanaście. Jak długo wielkie mocarstwo, wyzbywszy się treści, wytrwa w formach republikanizmu i demokracyi? Nikt nie wie, ale że nie wytrwa, to pewne. W oczach naszych się przetwarza; a dzieci nasze jego przemianę oglądać już będą. „Wszystko płynie“ — i wszystko przepływa. Zostaje tylko i niewzruszenie stoi natura ludzka, równie jak los, który ją od Zenitu do Nadyru odrzuca, ślepa. Żyjemy na najlepszym ze światów.

Tydzień polityczny. Za dwa miesiące Europa oglądać będzie tryumfatora chińskiego: generalissimus Waldersee wróci w połowie sierpnia do Niemiec; obecnie bawi w Japonii. Pozostałą brygadę odświeży nowe mięso ludzkie. Japończycy będą mieli jeszcze 9,000. Anglicy 3,300, Francuzi coś około 4,000 wojska w Chinach, które na teraz jeszcze z pod wspólnego rozbioru się wymknęły. Dwór chiński wróci do Pekinu dopiero na jesieni. Otrzymana chłosta może przyniesie pożytek; miarę dadzą dalsze stosunki na dworze: z cesarzową wdową utrzyma się i zaprzałość zagrażająca życiu.

Dziwnie szczęśliwie poszło wszystko p. Koerberowi, i cesarzowi, i samej monarchii austryackiej: sejm uchwalił i koleje i rzeki i kanały — i nawet budżet. Wybrał też komisyę kwotową do układów z Węgrami o udział w ogólnych wydatkach. D. 11 b. m skończyły się czynności Rady państwa, która przez lat kilka była tylko motłochem—ludzi oświeconych. D. 12 b. m. cesarz wyjechał do Pragi z Koerberem. Koło polskie wyprawiło obiad — Koerberowi i sobie.

Senat francuski nie okazał się wcale łagodniejszym dla duchowieństwa klasztornego od Izby: przeciwnie, zaostrzył jej uchwały: 3 miesiące zamiast 6 na prośbę o upoważnienie, usunięcie wszystkich stowarzyszonych od udziału w majątku stowarzyszenia; drugie to rozporządzenie sprzeciwia się nawet zasadzie własności indywidualnej.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Listy z Wiednia.

Konstytucya austryacka jest to jakiś twór wielce niezgrabny i nieproporcyonalny; ale napozor tylko. W gruncie rzeczy, z pewnego punktu widzenia, stanowi ona narzędzie bardzo kunsztowne i do pewnych celów doskonale przystosowane.

Weźmy np. delegacye, które właśnie obecnie tu obradują. Jak wiadomo, na mocy zawartej w r. 1867 ugody z Węgrami, obydwa państwa, Austrya, czyli 17 krajów, reprezentowanych w wiedeńskiej radzie państwa, i Węgry z drugiej strony, mają trzech wspólnych ministrów: spraw zagranicznych, wojny i finansów, o ile potrzebne są te ostatnie do pokrycia kosztów dwóch poprzednich kategoryj spraw. Ci trzej ministrowie, z których trzeci zarządza przytem Bośnią i Hercegowiną, odpowiedzialni są przed delegacyami obu parlamentów, zbierającemi się raz na rok, kolejno to w Budapeszcie, to w Wiedniu.

Ale tu się nie wyczerpują sprawy, wspólne obu państwom monarchii. Wiele spraw, dotyczących organizacyi banku państwowego, waluty, prawa handlowego, kolei żelaznych, cała polityka celna, cała organizacya wojskowa, wreszcie *kwota*, czyli procent udziału każdej połowy we wspólnych wydatkach całości,—są to także sprawy wspólne, a przecież nie należą do delegacyj. Obradują nad niemi parlamenty wiedeński i peszteński *in gremio*, każdy z osobna; odpowiedni ministrowie porozumiewają się uprzednio między sobą, przedstawiają pokrewne projekty, prawa jednobrzmiące wchodzą w życie z chwilą uchwalenia ich przez oba parlamenty. Dlaczegóż więc pewna kategorya spraw wspólnych, a mianowicie polityka zewnętrzna i zarząd wojskowy (nie organizacya poboru i rezerwy) wraz z odpowiednimi budżetami wyjęte są z pod kompetencyi parlamentu *in gremio* i oddane delegacyom?

Czy może delegacye w doskonalszym stopniu reprezentują i urzeczywistniają jedność państwową. Bynajmniej, tylko tyle, że zbierają się w jednem mieście, co przecież przy dzisiejszych środkach komunikacyi niema żadnego znaczenia. Zawsze są to dwie delegacye, ściśle wyodrębnione, nigdy jedna dwóch ciał prawodawczych. Nawet zasiadają w osobnych lokalach, każda ma swego prezydenta, przed każdą z osobna ministrowie składają swe wyjaśnienia, każda z osobna głosuje, i prawem ogólno-państwowem staje się, tak samo jak w pierwszym wypadku, to tylko, co uchwalą obydwie delegacye, każda z osobna, w jednem i tem samem brzmieniu. Nawet mowę tronową cesarz odczytuje każdej delegacyi z osobna po kolei.

Jakiejż więc różnicy między delegacyami a parlamentami przypisać należy nadanie osobnej kompetencyi delegacyom? Przypatrzmy się im.

Każda składa się z 60 członków: po 40 wybierają izby poselskie, po 20—izby magnatów każdego państwa. Izby magnatów składają się, jak wiadomo, z członków dziedzicznych lub dożywotnio mianowanych przez cesarza w liczbie nieograniczonej; skład ich i kierunek zależy więc w każdej chwili od rządu. W ten sposób więc trzecia część każdej delegacyi składa się z ludzi, gotowych do pełnienia jego

---

MAKSYM GORKIJ.

MAKAR CZUDRA

— BAJKA —

Od morza szedł wilgotny, zimny wiatr, śląc stepom pełną zadumy melodyę plusku fal, bijących o brzeg i szmeru krzaków nadbrzeżnych. Czasem podmuchy wiatru przynosiły z sobą zziębnięte, zmarszczone, żółte liście, rzucały je do ogniska i roznIecały płomień; wtedy otaczający nas mrok nocy jesiennej poczynał drżeć i, bojaźliwie się usuwając, odsłaniał na chwilę z prawej strony stepy bezkresne, z lewej — morze bezbrzeżne, a wprost naprzeciw mnie potężną postać Makara Czudry, starego cygana, doglądającego koni swego taboru, który rozłożył się był o jakie pięćdziesiąt kroków od nas.

Nie zwracając najmniejszej uwagi, że zimne fale wiatru rozpięły mu czekmen i obnażyły owłosione, bronzowe piersi, smagając je niemiłosiernie, Czudra napół leżąc w pięknej, swobodnej a silnej pozie, metodycznie pykał olbrzymią swą fajkę, puszczał z ust i z nosa gęste kłęby dymu i, nieruchomo utkwiwszy oczy kędyś po nad moją głowę w zamarłą a milczącą pomrokę stepów, gawędził ze mną bezustanku, najmniejszym ruchem nie probując się obronić od szorstkich powiewów wiatru.

— Więc wałęsasz się? Dobra! Wspaniały obrałeś sobie los, sokole. Tak właśnie trzeba: chodź a patrzaj, napatrzyłeś się, to kładź się i umieraj — ot i koniec!

— Życie? inni ludzie? — prawił dalej, sceptycznie wysłuchawszy moich zarzutów na jego „tak właśnie trzeba.“ — E-he! A tobie co do tego? Czyliż sam nie jesteś życiem? Inni żyją bez ciebie i bez ciebie żyć będą. A może myślisz, żeś komu potrzebny? Tyś nie chleb i nie kij, to też nikt nie potrzebuje ciebie.

— Uczyć się i uczyć, powiadasz? A czy potrafisz nauczyć, jak ludzi uszczęśliwiać? Nie, tego nie potrafisz. Osiwiej pierw, a potem gadaj, jak należy uczyć. Czegóż uczyć? Każdy wie, czego mu trzeba. Który mądrzejszy, bierze co się da, który głupszy — nic nie dostaje. Każdy sam się uczy.

— Śmieszni są owi ludzie twoi. Zebrali się do kupy i pcha jeden drugiego, choć na ziemi miejsca hen tyle — tu szerokim gestem objął stepy. — I wciąż pracują. Na co? dla kogo? Nikt nie wie. Patrzysz, jak człek orze i myślisz sobie: oto kropla po kropli wysączy w pocie czoła siły swe na tę ziemię, a potem legnie i zgnije w niej. Nic po nim nie zostanie; nic on po za rolą swoją nie widzi i umiera tak samo głupi, jak się rodził.

— Czyliż na to, powiedz, przyszedł na świat, by się w ziemi kopać i umrzeć, nie zdążywszy sobie nawet mogiły wykopać? A czyż wie on, co wolność? Czy zna stepów swobodę? Czy raduje mu się serce na gwarzenie fal morskich? E he! To niewolnik od urodzenia, przez całe życie — niewolnik i basta! Cóż on począć może? Powiesić się chyba, skoro zmądrzeje trochę.

— A ja oto, patrzaj, mam 58 lat, a już tylem widział, że gdyby to wszystko spisać na papierze, to byś tego w tysiącu takich torb jak twoja nie pomieścił. Sprobój no powiedzieć, w jakich to krajach ja nie byłem. Nie powiesz. Ty nawet nie znasz wcale takich krajów, w których ja bywałem. Tak żyć trzeba: chodzić, chodzić i basta. Nie stawaj długo na jednem miejscu, na cóż ci ono?. Jako dzień i noc wciąż biegną, ścigając się wzajemnie, dokoła ziemi, tak i ty umykaj od dumań o życiu, byś go lubić nie przestał. Zadumasz się jeno — już ci życie nie miłe, tak zawsze bywa. I ze mną tak było. Ehe! było, sokole!

woli i przed nikim nieodpowiedzialnych. Co do 40 delegatów od izby poselskiej, to w Austryi wybierani są oni nie przez całą izbę, lecz podzieleni po kilku, najwyżej po 7, między 17 krajów. Działa to, choć w jnny sposób, ale z takim samym skutkiem, jak działałoby upragnione przez konserwatywnych „autonomistów" wybieranie posłów do parlamentu centralnego nie przez okręgi wyborcze bezpośrednio, lecz przez sejmy krajowe: usuwa opozycyonistów, którzy w łonie reprezentacyi każdego kraju są w nieznacznej mniejszości, więc swoich kandydatów przeprzeć nie mogą. Gdyby delegatów wybierała cała Izba, to możeby jeszcze jakiś galicyjski lub czeski opozycyonista mógł przejść drogą koalicyi, przy pomocy głosów niemieckich, a niemiecki—dzięki poparciu Czechów lub Polaków; ale tak, jak jest—większość posłów każdego kraju nigdy nie dopuszcza do delegacyi swoich własnych opozycyonistów. Dogodniejszy dla opozycyonistów i sam przez się sprawiedliwszy byłby już podział proporcyonalny, jeśli nie między partye, to przynajmniej między kurye; wówczas na kuryę powszechną, mającą 75 posłów, przypadłoby z ośmiu delegatów. Dzięki zaś temu, że wybór odbywa się podług krajów i temu, że delegaci mieszczańscy, usuwając stanowczo opozycyę ludową od przedstawicielstwa, skrupulatnie natomiast oddają zawsze określoną ilość mandatów w ręce posłów z kuryi wielkiej własności, chociaż ci stanowią także nieznaczną mniejszość, rezultat np. w tym roku jest taki, że z piątej kuryi delegatów jest 4, a z pierwszej (magnackiej)—12. Ci czterej — klerykał Słoweniec, klerykał Włoch, klerykał Niemiec i antysemita wiedeński—należą do kuryi piątej przypadkowo i może doskonale kiedyindziej tak wypaść, że z piątej kuryi nie będzie delegata ani jednego Natomiast znaczna ich liczba z pierwszej kuryi—to zjawisko stałe, objaw jakby cichej umowy, świadczącej o słabym stopniu uświadomienia mieszczaństwa tak niemieckiego jak czeskiego (o galicyjskiem niema nawet co mówić). Ci zaś delegaci z pierwszej kuryi to są tacy sami magnaci, jak członkowie izby panów. Jakie pojęcie mają oni prawach parlamentu, można wnosić z wystąpienia ich mówcy, hr. Perlszky'ego, podczas obrad nad zrzeczeniem się przez arcyksięcia Fraciszka Ferdynanda praw do tronu dla dzieci jego z hrabiny Chotek: zdaniem klubu wielkiej własności parlamentowi do takich spraw nie wolno się wtrącać. Otóż ci 12 przedstawicieli wielkiej własności z izby poselskiej razem z 20 delegatami izby panów mają już z góry większość w delegacyi austryackiej. Wszyscy ludzie nieprzyjemni i źle wychowani są z niej z góry wykluczeni. Wszyscy wogóle delegaci nie czują się bynajmniej odpowiedzialni przed swymi wyborcami, bo wyborcy ci—to ani gremium izby, ani jakiś klub partyjny, tylko jednorazowe, czysto okolicznościowe zebranie posłów różnych barw i (jak np. w Czechach) narodowości z jednego i tego samego „kraju koronnego", które po wyborze przestaje istnieć i nie powtórzy się, jak za rok, może w innym składzie. Jeśli do tego dodamy, że delegacye zbierają się raz na rok, na czas bardzo krótki, to zrozumiemy, dlaczego sprawy zagraniczne i wojskowe, a więc te, które z punktu widzenia dynastycznego uchodzą wszędzie za najważniejsze, są zaliczone do wyłącznej kompetencyi delegacyj. Tu niema co się obawiać niedyskretnej kontroli, dokuczliwych interpelacyj, a większość jest z góry zapewniona, która zatwierdzi absolutnie wszystko, co ministrowie zechcą.

Że na zagraniczną politykę delegacye nie mają żadnego wpływu, o tem chyba sami ich członkowie nie wątpią. Co rok wysłuchują oni beztreściwych a sybillińskich wykładów hr. Gołuchowskiego, wygada się każdy: Kramarz przeciw Niemcom, któryś z Polaków—zarazem przeciw Prusakom - gnębicielom i za trójprzymierzem; przyjmują budżet i koniec. I minister spraw zagranicznych, gdzieindziej napastowany pytaniami co tydzień, ma święty spokój na cały rok. Minister wojny bo nie zadaje sobie nawet trudu *expose*. Słucha pytań i życzeń, potem daje na nie krótką, zbiorową odpowiedź, zawierającą kilka obietnic. Tak np. od lat kilkunastu co rok literalnie powtarza się zapewnienie, że projekt reformy okrutnego kodeksu wojskowego, datującego się z czasów Maryi Teresy, jest już opracowany i odesłany do ministeryów „obrony krajowej" obu połów monarchii w celu porobienia uwag albo naodwrót—że ministerya obrony krajowej odesłały go do ministeryum wojny, które robi właśnie swoje uwagi. Tymczasem w wojsku austryackiem odbiera sobie życie 131 żołnierzy co rok na 100,000, gdy w niemieckiem 63, włoskiem 40, francuskiem 33, belgijskiem 24, angielskiem 20. Cyfry to przypomniał p. Daszyński podczas dyskusyi w Izbie poselskiej nad interpelacyą czeskiego narodowego radykalisty Klofača z powodu samobójstwa żołnierza-Czecha, Zielaka, zelżonego i zranionego przez oficera-Niemca, Budinera. Austryacki minister „obrony krajowej," hr. Welsersheimb, raczył wprawdzie pobieżnie odpowiedzieć na interpelacyę, ale na wniosek śledztwa się nie zgodził, bo to należy do kompetencyi wspólnego ministra wojny. A wspólny minister wojny, baron Krieghammer, odpowiedzialny nie przed parlamentem, lecz tylko przed delegacyami, zapytany przez któregoś z Czechów w delegacyi, czy to prawda, że winowajcę Budinera ukarano tylko dwutygodniowym aresztem domowym, odpowiedział poprostu milczeniem. Budżet mu i tak uchwalono prawie jednogłośnie; a wynosi on 360 milionów... W roku przyszłym będą przedstawione żądania znacznych kredytów na nowe uzbrojenie artyleryi: delegacya też uchwali bez szemrania — a w parlamencie ileby to było mów, a może — obstrukcya!

Co prawda, to w tem wszystkiem chodzi już poprostu tylko o cenny spokój i ciszę, bo przecie i parlament uchwaliłby w końcu wszystko, coby rząd chciał, a jakby przypadkiem nie uchwalił, to zamiast jego uchwały, wyszłoby rozporządzenie ministeryalne „na mocy § 14," i skutek byłby ten sam, bo niktby słowa nie powiedział. Przecie § 14-ym rządzono przez trzy lata bez przerwy i załatwiano w ten sposób najważniejsze sprawy. Konstytucya nakazuje, aby rozporządzenie tego rodzaju, wydawane „w nagłym razie, w braku uchwały parlamentu, za zgodą i podpisem wszystkich ministrów," w możliwie jak najprędszym czasie było przedstawione parlamentowi do zatwierdzenia. No, to p. Koerber zadośćuczynił konstytucyi: 54 rozporządzenia swych poprzedników, oddawna naturalnie wprowadzone w wykonanie, złożył parlamentowi do zatwierdzenia. Ale upłynęło wiele tygodni od tego czasu — i o dyskusyi nad rozporządzeniami nic nie słychać. W dyskusyach nad różnemi zmianami praw: o podatku dochodowym, wódczanym itd., Izba spotyka się ciągle ze stanem rzeczy, wytworzonym przez rozporządzenia z mocy § 14; wówczas komisya stara się tekst nowy tak zredagować, aby § 14 go nie wymienić; broń Boże, toby zamąciło spokój obrad i zagroziło normalnej działalności „odrodzonego" parlamentu. Tymczasem minister skarbu, p. Böhm von Bawerk, wprost sprowokował parlament: wymagając gotowki na dokończenie w r. b. reformy waluty — w znacznej części opierającej się na § 14 — a mając kasy opróżnione przez to, że minister kolei czerpał z nich na bu-

---

— W turmie siedziałem, w Galicyi. I na cóż ja żyję na świecie? — pomyślałem raz jakoś z nudy, — nudno w turmie, sokole, oj jak nudno! — aż chwycił mnie żal za serce, a kiedym wyjrzał z okna na pole, to tak je ścisnął jak kleszcze. Któż powie, na co się żyje? Nikt nie powie, sokole! Nawet pytać o to nie trzeba? Żyj i basta. Wałęsaj się i rozglądaj się dokoła — to nigdy żal cię nie dojmie. Wtedy tom się omal paskiem nie zadusił, tak to!

— He! gadałem raz z pewnym człowiekiem. Surowy był to człowiek, z waszych, ruski. Należy, powiada, nie tak żyć, jak się chce, ale tak jak w piśmie pisano. Przed Bogiem się ukorz, a da ci wszystko, o co go błagać będziesz. A sam chodził w łachmanach, obdarty. Więc powiedziałem mu, by poprosił Boga o nową odzież. Rozgniewał się i, łżąc, odpędził mnie. A przedtem mówił, że należy wybaczać ludziom i kochać ich. Niechby i mnie wybaczył, skoro mowa moja obraziła go. Także mi nauczyciel! Nauczają, że mniej trzeba jeść, sami zaś jedzą po dziesięć razy na dobę.

Tu splunął do ogniska i zamilkł, nabijając sobie fajkę. Wiatr łkał czegoś żałośnie a cicho, w ciemności parskały konie, z taboru płynęła tkliwa namiętna pieśń — dumka. To śpiewała Nonka, córka Makara. Znałem nizkie piersiowe brzmienie jej głosu, w którym zawsze dźwięczały jakieś dziwne nuty niezadowolenia i domagania się czegoś — jednako czy piosnkę śpiewała, czy mówiła „dzień dobry." Do jej smagłej, matowej twarzy przymarła wyniosłość królowej, a w ciemno-piwnych oczach, jakąś chmurką otulonych, lśniła świadomość uroku i powabu własnej piękności i pogardy względem wszystkiego, co było po za nią.

Makar podał mi fajkę.

— Pal! .. Ślicznie śpiewa dziewczyna, co? Chciałbyś, żeby cię taka pokochała? Nie? To dobrze! Tak trzeba — nie wierz dziewczynom i trzymaj się od nich zdala. Dziewczę milsze całowanie, niż mnie fajka, ale gdy pocałujesz ją, to przepadnie wolność w twem sercu. Opęta cię ona czemś takiem, czego nie widać, a zerwać niepodobna, aż oddasz jej całą duszę i nic ci nie pozostanie. Prawdę mówię! Strzeż się dziewcząt! Zawsze łżą, gadziny. Kocham, mówi taka, nad wszystko na świecie, ale sprobuj ją ukłuć szpilką, jak ci serce podrze. Wiem ja, ehe! dużo wiem! Chcesz, sokole, to ci opowiem zdarzenie. A ty je zapamiętaj: jak zapamiętasz, to przez całe życie będzie z ciebie wolny ptak...

„Żył na świecie Zobar, cygan młody, Łojko Zobar. Całe Węgry, i Czechy, i Sławonia cała, i wszystkie kraje, co wokół morza, znały go — junak był to dzielny! Nie było w tych krajach wioski takiej, żeby w niej kilku lub kilkunastu mieszkańców nie składało przed ołtarzem przysięgi, że zgładzą Łojkę, a ten żył sobie dalej; i kiedy koń mu się jakiś spodobał, to choćbyś pułk żołnierzy postawił, by strzegli tego konia — zawsze Zobar harcować na nim będzie. Eho! Czy taki boi się kogo? Niechby sam szatan z całą swoją świtą przyszedł do niego, to, gdyby komuś noża nie wsadził, to już napewno tak by ich wyłajał i niejednemu djabłu takich by nadawał szturchańców po pysku, — że aż miło!

„A znały go wszystkie tabory lub słyszały o nim. Lubił on tylko konie i nic więcej, choć i te niedługo — pojeździ i sprzeda, a pieniądze mógł brać kto tylko chciał. Nie miał on nic, z czem by się drożył — potrzeba ci serca jego, to sam ci je wyrwie z piersi i odda, aby tobie jeno dobrze z tem było. Taki on był, sokole!

„Nasz tabor koczował wtedy w Bukowinie — będzie to temu lat 10. Pewnego razu — pamiętam było to w noc wiosenną— siedzimy ot sobie: ja, żołnierz Danilo, co

dowy w ciągu trzech lat także tylko na podstawie § 14-go, bez uchwał parlamentu, minister skarbu do uchalonego niedawno przez Izbę projektu budowy kolei na wielką skalę wstawił dodatek, upoważniający go do zaciągnięcia pożyczki publicznej 80-milionowej w celu zapełnienia kas. Dały się słyszeć głosy, że tego już za wiele, że nie można przecie tak milcząco zatwierdzać rozporządzeń z mocy § 14 go, przeciw którym parlament zawsze protestował. „A czemuż panowie ich nie przedyskutujecie?—wprost zapytał minister — wszak podaliśmy je wam do zatwierdzenia od samego początku sesyi.“ Ucichło; do wyraźnej opozycyi parlament nie jest zdolny: wszak kanały, koleje i inna manna sypie się na przemysł, handel i rolnictwo. I napróżno p. Daszyński odwoływał się do postępowych stronnictw niemieckich, że to przecie dawanie w ręce ministeryum finansowej możności rządzenia znów przez czas jakiś w razie potrzeby na zasadzie § 14, napróżno wołał do nich ich własny członek, p. Lecher — wnioski ministra skarbu przeszły znaczną większością. Prawie wszystkie stronnictwa parlamentu sarkają na posługiwanie się § 14 i dziwią się, że najwyższy sąd administracyjny odrzucił powództwo pewnego kupca niemieckiego, który odmówił płacenia podatków, nałożonych na zasadzie § 14, i żądał uznania takich rozporządzeń za niezgodne z prawem. Prawie wszystkie stronnictwa mówią o potrzebie zniesienia § 14-go konstytucyi. Ale to połączone jest z wielką trudnością, niepokonaną chyba: do zmiany konstytucyi trzeba $^2/_3$ głosów deputowanych, zgody Izby panów i sankcyi monarszej. Tymczasem Izba poselska ma w swych własnych jedynie rękach niezawodny środek oduczenia ministrów raz na zawsze od używania § 14-go: wystarczyłoby niezatwierdzenie tych rozporządzeń bez względu na to, jakieby stąd dla winowajców wynikły trudności prawne i ekonomiczne. Ale na to Izba nigdy się nie odważy. Dlaczego? Bo w Austryi parlament nie jest przedstawicielstwem narodu, zdolnem do kierowania jego losami, do rządzenia na własną rękę, ale wieżą Babel, zbiegowiskiem rozbieżnych żywiołów, paraliżujących się nawzajem. Zdolny jest tylko — do podziału manny.

W rozprawach nad budżetem, pierwszych od lat czterech, powiedziano bardzo słusznie i z ironią: „W Austryi parlament jest tylko przybocznem zgromadzeniem przy ministeryum, z głosem doradczym — w sprawach ekonomicznych. Powiedział te słowa młodoczech, dr. Stransky. Ironia ta nie przeszkadza zresztą jemu i jego towarzyszom brać jak najczynniejszego udziału w podziale kanałów, kolei i innych cywilizacyjnych nabytków między kraje i unikać wszelkiego zamącenia „polityką“ odzyskanej „zdolności parlamentu do pracy.“ Kłamstwa konwencyonalne!

K. Radosławski.

WALKA Z BEZROBOCIEM.

Kuźnia rządowa Niemiec, fabrykująca zwykle „prima“ ustawy wojskowe i antyprzewrotowe, zajęta jest obecnie dorobieniem dwu nowych ogniw do łańcucha reform społecznych: są to projekty walki z bezrobociem i niedolą mieszkaniową. Kowalc rządowi w ostatniej chwili przystąpili naprędce do nowego obstalunku wobec klęski żywiołowej, zwanej kryzysem i posuwającej się naprzód w butach siedmiomilowych w towarzystwie bezrobocia. Teraz dopiero kwestya braku pracy stała się „bieżącą“ i „palącą.“

W istocie jeszcze przed dwoma lub trzema laty zagadnienie to miało charakter więcej naukowy. Nawet w obozie społecznym, który, stojąc na straży interesów ludowych, wystrzega się optymizmu z powodów zrozumiałych, zaczęły się odzywać wtedy głosy, iż przesilenia nie są prawdopodobnie nieodłącznem zjawiskiem naszego życia umysłowego. Powoływano się na wzorową organizacyę i instytucye pomocnicze handlu współczesnego oraz kartelizacyę przemysłu, które potrafią wyrównać tempo produkcyi z natężeniem i jakością popytu. Jeszcze zwolennicy różowych kolorów nie zdołali obronić swej naukowej pozycyi, gdy z nieba o lazurze Böcklinowskim padł pierwszy piorun i od tego czasu burza przesilenia rośnie. Z początku przemysł chował jak struś głowę do piasku, twierdząc, że to oddzielne nieszczęśliwe wypadki, których nie należy uogólniać. Dziś natomiast wszystkie sprawozdania giełdowe, opinie izb handlowych, sprawozdania dyrektorów na zebraniach generalnych akcyonaryuszów, skłaniają się jednomyślnie do ponurego wniosku, iż piękne dni Aranjuezu dla przemysłu minęły i że jedną gałąź za drugą ogarnia spazm zastoju, któremu towarzyszy brak pracy dla dziesiątek tysięcy ludzi. Podczas gdy w przeszłym roku na 100 miejsc wolnych w fabrykach zgłaszało się 126 kandydatów, już w początkach 1901 r. poszukiwało pracy 170 osób. Co zaś począć z tymi ludźmi, niemającymi w majątku swym nic, oprócz rąk, których, wbrew swym kwalifikacyom i chęciom, zużytkować nie mogą?

Szlachetnej pamięci manczesteryzm dawał na to bardzo prostą odpowiedź. Jak twierdził Malthus, przy uczcie życiowej stół nakryty tylko dla ograniczonej ilości osób. Kto więc miał szczęście urodzić się synem Vanderbildta, Bleichrödera lub wprost pierwszego lepszego rzezimieszka giełdowego, ten otrzymuje nietylko nakrycie ze słowiczymi językami, wytwornym deserem i szampanem, ale nadto swój własny artystycznie wykonany jadłospis, przyczem, dla lepszego trawienia, przygrywa mu podczas obiadu orkiestra koncertowa. Kto zaś miał nieszczęście urodzić się właścicielem szpetnych, żylastych rąk i wykoszlawionych ciężkich nóg, komu nawet ze stołu ucztowego nie rzucają okruchów, ten zrobi najlepiej, jeśli uwolni biesiadników od swego widoku, opuszczając nasz padół płaczu dla świata lepszego, gdzie niema ani nędzy, ani głodu, gdzie ludzie żyją ambrozyą. Byłoby sentymentalizmem szemrać przeciwko temu, gdyż wobec „żelaznych,“ lub jeśli kto woli, złotych praw społecznych, jesteśmy, jak chce pastor Malthus, bezsilni. Oburzać się mogą, zdaniem manczesterczyków, tylko żółtodzióbkowie społeczni Na nieszczęście, ten oto brzydki ród sentymentalnych etyków rozmnożył się w ostatnich czasach niepomiernie, a wpływ ich zalał naukę ekonomiczną. Wskutek tego szeroko i głęboko zajęto się kwestyą bezrobocia. Powstała już w tym przedmiocie pokaźna literatura i wychodzi pismo nawet (*Der Arbeitsmarkt*), poświęcone biurom pracy i sprawie regulowania bezrobocia. W praktyce, co prawda, zrobiono bardzo niewiele dla złagodzenia tej klęski. A tem bardziej o jej ostatecznem usunięciu przy obecnych warunkach mowy być nie może. Zobaczymy, jak przedstawia się stan rzeczy w Niemczech, a więc w kraju przodującym dziś światu pod względem reformatorsko-społecznym. Gminy miejskie już dawno zwróciły tu uwagę na kwestyę bezrobocia i położyły na tem polu zasługi o tyle, iż bądź zaprowadziły u siebie biura (wykazy) pracy, będące pod zarządem chlebodawców i pracobiorców, bądź popierają biura, założone przez organizacye fachowe. Wykazy pracy (życzliwie przyjęte przez lud pracujący) mają bezwarunkowo wielką przy-

---

pod Koszutem wojował, i stary Nur, i inni wszyscy, i Radda, córka Daniły.

Nonkę moją znasz przecie. Królowa! A jednak z Raddą jej się równać nie wolno — zbytni zaszczyt dla Nonki. O tamtej, o tej Raddzie nie słowami powiedzieć się nie da. Jej piękność chyba na skrzypcach wygrać można, ale i to tylko ten potrafi, kto te skrzypce jak własną duszę zna.

„Dużo serc junaczych uschło przez nią, oj dużo! Na Morawach magnat pewien stary, czubaty ujrzał ją i zdębiał. Siedzi na koniu i patrzy a drży, jak w ogniu cały. Piękny był, jak dyabeł w niedzielę: żupan złotem haftowany, u boku szabla, jak błyskawica, gdy koń stąpał, to... szabla ta klejnotami błyska, na czapce aksamit błękitny, niby nieba kawał — możny był ten hospodar stary! Patrzał, patrzał, aż powiada do Raddy: Hej! pocałuj, worek pieniędzy dam. — Ta zaś odwróciła się odeń, i koniec.

— Wybacz, jeżelim obraził, spojrzyj choć łaskawiej! — odrazu spuścił z tonu wyniosły magnat stary i rzucił jej pod nogi worek pieniędzy, duży worek, bracie! A ona niby przypadkiem pchęła go nogą w błoto, i basta.

— Och, dziewojo! — jęknął ten i batem ciął konia i tylko skłębione chmury kurzu widać było.

Nazajutrz znowu się zjawił.

— Kto jest jej ojcem? — niby piorun zagrzmiało w taborze. Wyszedł Daniło. — Sprzedaj córkę, dostaniesz, ile tylko zechcesz!

A Daniło mu na to:

— Tylko pany sprzedają wszystko, począwszy od świń, a kończąc na sumieniu; ja pod Koszutem wojowałem i niczem nie handluję!

Jak ci ten nie wrzaśnie, jak nie chwyci za szablę, ale któryś z nas wetknął żagiew płonącą do ucha koniowi, aż umknął razem z jeźdźcem. A myśmy tabor zebrali i ruszyli w drogę. Idziemy dzień jeden, idziemy drugi, patrzymy—dogonił nas!

— Hej, wy! — powiada — sumienie moje przed Bogiem i wami jest czyste, dajcie mi dziewkę za żonę; wszystkiem podzielę się z wami, jestem bardzo bogaty!

I pada cały i jak trawka na wietrze, tak się kołysze na siodle. Zamyśliliśmy się.

— A nuże, córko, gadaj!— bąknął Daniło pod nosem.

— Jakby orlica z własnej woli do gniazda kruka się wybrała, to cóżby z niej było? — zapytała nas Radda.

Roześmiał się Daniło i my wszyscy także.

— Pysznie, córko! Słyszałeś panie? Nic z twojej sprawy! Poszukaj sobie gołąbka— te łatwiej ułaskawić!

I ruszyliśmy dalej.

Tedy ów hospodar wziął czapkę swą, cisnął ją o ziemię i pędem się puścił; tak pędził, że ziemia zadrżała.

Oto, jaka była Radda, sokole!

Tak! Siedzimy raz w nocy i słyszymy— muzyka jakaś płynie przez stepy. Piękna muzyka wabiła jakoś dziwnie, krew od niej w żyłach płonęła. Wszystkim nam, zda się, od muzyki tej zachciało się czegoś takiego, że już po tem i żyć by nie trzeba albo jeżeli żyć, to jako króle nad całym światem — taka to była pieśń, sokole!

Coraz się zbliżała. Z ciemności wynurzył się koń, a na tym koniu człowiek siedzi i gra i do nas podjeżdża. Stanął koło ogniska, przestał grać i z uśmiechem spogląda na nas.

(D. n.).

szłość, zwłaszcza gdy ogół instytucyj tych, jak to już dawno uchwalono w teoryi, stworzy jedną wielką organizacyę państwową dla wyrównywania niedoborów i nadmiarów siły roboczej na miejscowych rynkach pracy. Teraz właśnie rząd na widok rosnącej z miesiąca na miesiąc „armii rezerwowej" zwrócił się do biur pracy, aby porozumiawszy się z biurami okręgów rolnych, wysyłały tam kandydatów, poszukujących zajęcia, przyczem ci będą otrzymywali od zarządu kolejowego bezpłatne bilety na przejazd. Instytucye te, zaprowadzając ład w dziedzinie popytu i podaży na rynku pracy, wyświadczają społeczeństwu w normalnych warunkach usługi nieocenione — ale nic po za tem. W czasach zastoju powszechnego potrzebna jest pomoc inna. Ale jaka? Dotychczas ani teorya, ani praktyka nie mogą rozwiązać tego pytania. Gminy miejskie uciekały się w tych wypadkach do znanego oddawna sposobu zatrudniania najmitów byle jakiemi robotami dla ratowania ich od śmierci głodowej, a zarazem nienarażania na zbyt jawną jałmużnę. Ten sposób wyjścia wszakże dość nieskomplikowany, wyraz domorosłej filantropii, należy do największych niedorzeczności społecznych. W wypadkach gwałtownych może on być stosowany na małą skalę, ale wobec chronicznych przesileń jest to środek wprost śmieszny, pomijając, iż upokarzający. Człowiek pracy, mający fachowe wykształcenie przemysłowe, jest zmuszony tłuc kamienie lub kopać ziemię za wynagrodzenie głodomora.

Na drogę prawdziwie społeczną, jakkolwiek wytykaną w niezupełnie wyraźnych zarysach przez naukę, wstąpiło w Niemczech dopiero jedno miasto. Kolonia mianowicie wprowadziła u siebie po raz pierwszy w Niemczech ubezpieczenie od bezrobocia, co prawda, tylko na sezon zimowy. Tą samą drogą podążają również stowarzyszenia zawodowe robotnicze, obejmujące dziś w Niemczech około miliona osób. Niektóre, jak np. organizacye wolnomyślne, zaprowadziły już u siebie obowiązkowe ubezpieczenie na wypadek bezrobocia. Wielki związek drukarzy wypłacił nawet w r. 1900 pół miliona marek tytułem ubezpieczenia. Czy jednak instytucye te i w czasach cięższych potrafią stanąć na wysokości zadania, jest rzeczą wątpliwą. Nauka nawet nie może przepowiedzieć, jakie rozmiary przybiorą przyszłe przesilenia ekonomiczne. Bardzo poważni ekonomiści, jak np. Adolf Wagner, z przekonań konserwatysta społeczny, zapatrują się dość pesymistycznie na przyszłość i wróżą, w razie braku nowych rynków kolonialnych i przepełnienia obecnych, kataklizmy ekonomiczne rozmiarów nieznanych w dziejach ludzkości.

Zobaczmy jeszcze, jak literatura odnośna stara się zgryźć twardy orzech bezrobocia. Nie wykraczając po za kordon obecnych warunków produkcyi i zbytu, zastanawia się ona nad tem, w jakiej formie ubezpieczyć posiadacza siły roboczej na wypadek braku zajęcia. Ma ona na to niesłychanie ciężkie pytanie dwie odpowiedzi. Jedni polecają „przymusowe osobiste oszczędzanie," drudzy zaś natomiast żądają, aby zarządy miejskie zaprowadziły u siebie obowiązkowe ubezpieczenie. Podług pierwszego projektu, opracowanego przez pierwszorzędną powagę z dziedziny skarbowości, robotnika należy zmusić do składania oszczędności w oznaczonej prawnie kasie, które otrzymuje z powrotem na własność w razie bezrobocia. Dotychczas pomysł ten nie znalazł odgłosu w nauce. Za to tem gorliwiej opracowywa się projekt ubezpieczenia komunalnego. Miasto w myśl tego projektu zakłada kasę ubezpieczeń, do której należą wszyscy robotnicy miejscowi i oddaje ją pod nadzór równoprawny zarobkodawców i pracowników. Z chwilą, gdy wyrobnik traci robotę, zwraca się do komunalnego wykazu (biura) pracy, znajdującego się przy kasie ubezpieczeń i w razie jeśli ten nie może wskazać mu odpowiedniego zajęcia, żąda regularnego wsparcia aż do ustąpienia bezrobocia. Składki wpłacają sami właściciele siły roboczej oraz zarobkodawcy danej miejscowości i w odpowiednim stosunku gmina. Oto szkic planu, który jest przedmiotem zaciekłych sporów. Tak np. znany etyk Förster usiłuje zwalić wszystko na stowarzyszenia zawodowe w mniemaniu, iż taka opieka nad członkami wyjdzie na dobre tym instytucyom, gdy ściągnie do nich ogół najmitów, stojących jeszcze po za obrębem organizacyi. Szczegóły projektu nastręczają nadto mnóstwo trudności. Jak np. orzec, czy bezrobocie nastąpiło z własnej winy najmity lub nie; w pierwszym wypadku bowiem projekt odmawia mu wsparcia. Dalej, kiedy zajęcie, polecone kandydatowi przez biuro pracy, należy uważać za odpowiednie dla niego, kiedy zaś ma je prawo odtrącić jako niewłaściwe. Przypuszczam, że w praktyce te i tego rodzaju kwestye sporne rozwiążą się prędzej, niż przy biurku zielonem. Dość, że pierwszy krok już zrobiono, jakkolwiek późno, niestanowczo i nieznacznie: dziś już możemy powiedzieć, ku czemu zmierza w *bliższej* przyszłości obecny stan rzeczy. Zresztą reforma przygotowywana jest w ścisłym związku z innemi kwestyami natury analogicznej, które wcześniej lub później, bądź za przykładem innych krajów, bądź za nakazem nauki, muszą przyjść na porządek dzienny. Mam tu na myśli reformę umowy najmu roboczego. Że jednak na tej drodze są tylko przystanki i stacye, podczas gdy meta jest jeszcze bardzo odległą, niechaj świadczy fakt autentyczny, powtórzony dziś przez wszystkie gazety niemieckie.

Żona właściciela zakładu przemysłowego zwiedza założoną przez męża szkółkę. Nauczyciel, egzaminujący, stawia pytania i między innemi zagadnął jedno z dzieci: „Kto jest najwyższą istotą?" Cała szkoła odpowiada chórem: „Pani fabrykantowa!"

H. Forszteter.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Zamknięcie „Ateneum."

Gdy się słyszy powszechny podziw dla nowosprowadzonych dżokejów i ogląda ich wizerunki w pismach, jak *Tygodnik ilustrowany*, doznaje się ogromnego zdziwienia wobec lakoniczności takich nowin, jak: *Ateneum* przestaje wychodzić.

Przedsiebiorca, zwijający restauracyę, czuje się nieraz w obowiązku zawiadomić o tem opinię publiczną, a dla osób interesowanych załącza nawet motywy lub nazwisko nabywcy „interesu." Tu — nic. Dotychczasowy właściciel koncesyi, p. Włodzimierz Spasowicz, zawiadamia *Kuryer warszawski*, że *Ateneum* wychodzić przestaje. Tamerlanowskie i Neronowskie zniszczenia miały na swoją obronę tę poezyę grozy, którą rad się nasyca bezwiednie lub świadomie umysł dziki lub zwyrodniały. Wandalizm tego rodzaju, co zamknięcie poważnego pisma naukowego, nie zawiera w sobie nic efektownego, lecz przygniata ogromem ślepej bezwzględności. Tu, w Warszawie, szczególną opieką otaczał pismo zduszone człowiek, od długiego szeregu lat wypowiadający tylko te myśli, które według niego mają doniosłość społeczną. Słyszeliśmy nieraz o suchotach narodowych, o kąpielach narodowych itd. Zdawaćby się mogło, że zbiorowa wola wdzięcznego narodu utrzymuje tego człowieka w zdrowiu pomimo bardzo podeszłego wieku. Będąc przez długi czas profesorem, nie napisał on żadnego dzieła *naukowego*, ale do walki społecznej zawsze jest gotów — z za cudzych pleców. Podobno dzięki jemu *Ateneum* przestanie wychodzić także dla pożytku narodowego. Redaktor pisma, p. Ignacy Chrzanowski, nie odpowiadał pewnym wymaganiom, nie posiadał cech, które, razem wzięte, wywołują w duszy nieprzepartą żądzę zawołania:

— Kochany, drogi panie!

Takiemu człowiekowi obiecuje się ułatwić drogę do karyery; gdy jednak protegowany zachowuje ciągle stałość przekonań, powiada mu się:

— Kochany panie, my się nigdy nie zrozumiemy.

Zrozumienie według tej formułki może nastąpić dopiero na tamtym świecie. Jeżeli jednak „kochany pan" ma możność pozostania niezależnym, a przekonać się nie da, wówczas niszczy się koncesyę pisma, które było u nas jednem z bardzo nielicznych ognisk poważniejszej pracy naukowo-publicystycznej. Doprawdy, powinno wyjść u nas jak najrychlej wydawnictwo pod tytułem: „Żywoty łudzących się Polaków." Zamknięcie *Ateneum* obciążyłoby tam jedną, bardzo zresztą monotonną, biografię.

Takimi są mniej więcej motywy zwinięcia pisma. Ponieważ ani p. Włodzimierz Spasowicz, ani jego sprzymierzeniec warszawski—kierownictwa organu podjąć się nie chcieli, czy nie mogli, a ludzie nie zawsze najmować się dają, więc zniszczono przybytek pracy i myśli naukowej.

Są ludzie, przekładający pustynię nad oazę z wodą i owocami, których już nie trawią. Gdybyż tacy chcieli stopniowo Saharę zaludniać! Pilnowałbym do końca życia, ażeby ich dochodził od nas regularnie transport zepsutej oliwy. *T. U.*

Walka z rakiem.

Pisma zagraniczne ogłaszają odkrycie lasecznika raka. Specyaliści zapewne niedługo ocenią doniosłość tego odkrycia, tymczasem jednak dla chcących tę kwestyę zbadać gruntowniej dodajemy, że odkrycia dokonał chirurg berliński Maks Schüller. Objawowa strona tej choroby znana jest dobrze. Polega ona na tem, że nawiedzone przez raka komórki ciała naszego nabierają skłonności do rozrostu. Jest to rozrost specyalnej tylko tkanki, lecz zabójczy. W zakresie ratunku chirurgicznego chodzi oczywiście o najwcześniejsze stwierdzenie i znalezienie siedliska okropnego rozrostu tkanki, co nie zawsze jest możliwe przy porażeniach wewnętrznych, — które niejednokrotnie opóźniają dyagnozę. Z chwilą, gdy mikroskop wprowadził lekarza w nowe społeczeństwa drobnoustrojów, zaczęto poszukiwać lasecznika raka. Do dziś dnia jednak pozostaje on w ukryciu, pomimo, że zdemaskowano jego towarzyszów broni, mniej lub więcej groźnych, jak, cholera suchoty, dżuma itp.

Otóż doktorowi Schüllerowi udało się podobno odnaleźć lasecznika raka i zbadać do pewnego stopnia jego naturę. Ogłosił on swoją w tym względzie pracę pod tytułem: „Die Parasiten im Krebs und Sarkom der Menschen." Uczony niemiecki zaznacza, że odkryty lasecznik nie znosi zimna i gorąca powyżej 50° Celsiusza, że przytem ma ogromny wstręt do alkoholu, od którego ginie. Lasecznik ten, dostający się do organizmu zzewnątrz, daje się obserwować narazie w postaci błyszczących żółtawych kulek, kryjących w swem wnętrzu drobnoustroje. Wkrótce kulki pę-

kają i uwalniają całe gromady pracowników — śmierci.

Jeżeli odkrycie doktora Schüllera dotyczy laseczników, bezpośrednio powodującego raka, wówczas walka z tą chorobą wejdzie na tory, na które oddawna weszła walka z suchotami: równolegle z naturą chorego człowieka badają lekarze życie lasecznika i poznają coraz więcej jego własności. Celem tej pracy jest wytworzenie takich warunków, któreby bez szkody dla naszego zdrowia uniemożliwiały pobyt w naszem ciele niewidzialnych wrogów. Nauka nie cofa się przed tem, ludzkość czeka na to — chodząc na wyścigi.

Atak jazdy polskiej pod Somo-Sierra.

Patrzę na cztery szkice Wojciecha Kossaka do panoramy p. t. „Atak jazdy polskiej pod Somo-Sierra.“ Jeżeli istotnie obrazy te nie mają błędów topograficznych, nadają się do podręcznika lub studyum z dziedziny wojskowości, gdyż jako dzieła sztuki nic nie mówią ani kolorem, ani ruchem. Poprostu w tych górach niema co zdobywać, i trzeba być wytrawnym wojakiem, żeby odczuć trudność zadania jazdy polskiej. Wobec powszechnej sympatyi, jaką „cieszą się“ (?) w Europie Burowie, od tylu miesięcy dosiadani przez Anglików, uczuwam w sercu żal do jazdy, która w tak znakomity sposób ułatwiła chwilowy pogrom górali hiszpańskich.

Bohaterstwo Polaków w wąwozie hiszpańskim w świetle historyi nie wykracza poza mechaniczną sprawność i karność wojskową. Atak pod Somo-Sierra ma ogromną doniosłość w wykładzie specyalnym. Żaden jednak wykład nie zaleca rozlewu krwi, owszem, nawet w oświetleniu specyalnem każda bitwa jest tylko smutną koniecznością. Skoro wreszcie chodzi o wyłowienie bohaterstwa z pola walki, zawsze go więcej znajdziemy w rozpaczliwej obronie, niż w najskuteczniejszej szarży zaczepnej. Dlatego też, gdy czytam o Burach i słyszę półurzędowe protesty, zakładane przez państwa europejskie w imieniu pokrzywdzonych, rad jestem, że z Warszawy nikt nie pójdzie z odsieczą Anglikom, chociażby z takim skutkiem, jak pod Somo-Sierra.

Ponieważ, jak już wspomniałem, szkice Kossaka na moje uczucie artystyczne nie oddziałały, odmawiam tej pracy wszelkiej doniosłości.

Jest ona próbą ujęcia w ramki artystyczne wypadku, ogołoconego z treści dziejowej. Thiers motywuje obecność jazdy polskiej w Hiszpanii grymasem Napoleona, który chciał mieć w swej gwardyi „wszelkie stroje i narodowości.“ Słowa te nie świadczą korzystnie o bezstronności Thiersa, lecz dobrze charakteryzują całą przypadkowość szarży, zanotowanej przez dzieje. Posłuchajmy jednak, co mówią o wyprawie do Hiszpanii Napoleon i Chateaubriand. Cesarz (Pamiętniki Las Cases'a) w swych gawędach na wyspie Św. Heleny zwalczał patetycznie insynuacye, pomawiające go o należenie do intryg dynastycznych w Hiszpanii. Napoleon twierdził zawsze, że miał na celu pokój i równowagę powszechną i dlatego pragnął ratować naród hiszpański, szarpany przez walkę stronnictw i intrygi dworskie. Tymczasem wiadomą jest rzeczą, że cesarz w Hiszpanii walczył z Anglią. Oto jego słowa: „Ta nieszczęśliwa wojna zgubiła mnie, zachwiała mój kredyt moralny w Europie, a jednak nie mogłem zostawić półwyspu na pastwę intryg Anglii.“ Korzystał też skwapliwie z niesnasek, i gdyby był wygrał bitwę pod Waterloo, wszedłby, jak sam twierdził, w konszachty z powstańcami hiszpańskimi, z tymi samymi, których atakować kazał jeździe polskiej. Chateaubriand zadaje kłam humanitarnym rozkazom Napoleona, żeby armia oszczędzała mieszkańców, kościoły i klasztory. Zdaniem Chateaubriand'a, Napoleon, umaczawszy ręce w intrygach madryckich, stanął niespodzianie oko w oko z ludem hiszpańskim, którego pozbawił monarchy. Podczas tej akcyi opiekuńczej żołnierze francuscy przelewali krew mnichów „z całą bufonadą Woltera i okrucieństwem Terroru.“ (Chateaubriand — Congrès de Verone). „Był to (słowa tegoż) dramat dla dramatu,“ a jedną z jego scen, dodajmy, była szarża jazdy polskiej. *Ul.*

Akwaryum.

Warszawa, w której jedna spółka rybacka upadła, a druga rozdwoiwszy się w zarodku, nie przyszła do skutku, ta sama Warszawa przystępuje obecnie do przedsiębiorstwa zbytkownego, na wzór wielkich miast europejskich. Oto zawiązuje się spółka udziałowa („z przejściem w Towarzystwo akcyjne“) budowy i eksploatacyi wielkiego akwaryum pod panoramą przy ul. Karowej, z kapitałem 100,000 rb., podzielonym na 400 udziałów po 250 rb. Będą tam gromadzone systematycznie wszelkie twory wód słodkich i słonych, zwierzokrzewy, ziemnowodne gady, płazy, zbiory naukowe, cała konchologia, rośliny podzwrotnikowe, sztuczna wylęgarnia ryb itd. Nadto będą tam urządzone rozmaite pieczary, groty, fontanny przy skombinowanem oświetleniu elektrycznem i dziennem, wywołujące efekty malownicze. Co do strony finansowej, inicyatorowie przedsiębiorstwa takie czynią obliczenia: „Jeżeli tylko dziesiąta część ludności Warszawy i [illegible] przyjezdnych raz jeden obejrzą tak ciekawą wystawę, już cały kapitał zakładowy w ciągu roku niemal może się zamortyzować i uczestnicy, wycofawszy swoje wkłady, otrzymywać będą nadal przyzwoity procent. Na powodzenie przedsiębiorstwa wpłynąć musi nowość i oryginalność tej wystawy w Warszawie, niemającej dotychczas żadnych takich atrakcyj, zarówno jak taniość i łatwość utrzymywania wszelkich tworów wodnych.“ Osoby, życzące przystąpić do Towarzystwa i nabyć prawa członków-założycieli, powinni wnieść od sumy zadeklarowanej 20% do kasy warszawskiego Towarzystwa wzajemnego kredytu. Niewątpliwie Akwaryum takie będzie przyjemną i zarazem pożyteczną rozrywką dla publiczności warszawskiej. Oby tylko nowe przedsiębiorstwo nie doznało tego losu, co zwierzyniec w Bagateli przed kilkunastu laty.



TELEFONOGRAFIA.

Jeżeli wiek dziewiętnasty można było z pewną dozą słuszności nazwać wiekiem pary, to dwudziesty zasłuży sobie zapewne na nazwę wieku elektryczności. Zachodzi bowiem ciekawy proces opanowywania przez elektryczność coraz to nowych gałęzi przemysłu i techniki; niepodobna poprostu obrócić się gdziekolwiek, żeby nie stanąć oko w oko z tą elektryczną, tajemniczą wieszczką, sypiącą z obu rękawów wynalazkami i niespodziewanemi odkryciami.

W pałacu elektryczności, tonącym w powodzi różnobarwnego światła, na ostatniej wystawie paryskiej, obok wielu starych wynalazków, odzianych w mniej lub więcej nową sukienkę, widzieliśmy parę całkiem świeżych. Uwagę naszą zwrócił szczególnie fonograf Poulsena, będący wcieleniem wynalazczego dowcipu.

Ojcem tego przyrządu, odtwarzającego dźwięki z łudzącą dokładnością, jest, jak wiadomo powszechnie, sławny Edison. Genialny Amerykanin, poświęcił dużo czasu na ulepszenie fonografu, bo pierwotny aparat mówił i śpiewał źle; udało mu się w końcu wynaleźć masę odpowiednią na walce, na których ostrze drgające wraz z błoną zapisuje dźwięki; zdaje się, że robił ją z mydła preparowanego; niestety jednak, nawet udoskonalony fonograf zawiódł oczekiwania tych, co spodziewali się znaleźć w nim mechanicznego grajka i śpiewaka; był tylko niezłym mówcą.

Po bliższem zastanowieniu się każdy zrozumie, że fonograf musi odtwarzać niedokładnie dźwięki; dzieje się tak dla tej przyczyny, że błona jest hamowana w swych drganiach oporem, jakiego doznaje ostrze rzeźbiące znaki w mydle czy wosku; ruchy jej nie są więc ściśle takie same, jak drgania powietrza i dźwięki notują się do pewnego stopnia skażone. To samo się powtarza podczas reprodukcyi dźwięków, tylko odwrotnie; ostrze, zapadając w zagłębienia na cylindrze, wprawia w ruch błonę, ale drgania te różnią się od pierwotnych.

Ażeby usunąć te „organiczne“ wady fonografu i uczynić zeń narzędzie wiernie kopiujące dźwięki, należało albo zrobić cylinder miękim, to znaczy niezdatnym do reprodukcyi dźwięków, albo usunąć go zupełnie.

Ale jakże zapisywać drgania powietrza bez cylindra?

Kwestya to napozór nierozwiązalna, bo cylinder musi składać się z materyi względnie twardej i przedstawiającej opór sztylecikowi.

Otóż w pałacu elektryczności figurował fonograf Poulsena, obywający się doskonale bez wosku czy mydła; co dziwniejsze, błona zapisywała dźwięki bez ostrza i nie stykała się materyalnie z cylindrem, przyjmującym ślady drgań. Zbytecznie chyba mówić, że pośrednikiem pomiędzy błoną a cylindrem jest tu elektryczność, a właściwie elektro-magnetyzm.

Zaraz wyjaśnimy, jaką rolę odgrywa tutaj elektromagnetyzm. Wyobraźmy sobie element galwaniczny, w którego obwód włączyliśmy mikrofon i mały elektromagnes. Jeżeli zaczniemy mówić do mikrofonu, to deseczka jego będzie drgała, cisnąc z rozmaitą siłą na słupki węglowe, przez które przechodzi prąd z elementu; wskutek tego opór elektryczny w mikrofonie będzie się szybko i unisono zmieniał z dźwiękami mowy naszej; ponieważ zaś, w myśl prawa Ohma, siła prądu w obwodzie zależy od wielkości oporu, przeto przez elektromagnes będzie przepływał zmiennego natężenia prąd, który też zmienia ciągle jego przyciągającą siłę.

Gdybyśmy w bliskiem sąsiedztwie takiego elektromagnesu umieścili kawałeczek miękkiego żelaza, to namagnesowywałoby się ono i traciło ciągle swój magnetyzm, zależnie od działania na nie elektromagnesu. Postać rzeczy zmienia się atoli, skoro żelazo miękie zastąpimy stalą, która magnesuje się wprawdzie trudniej, ale też zachowuje raz uzyskany magnetyzm. Poulsen pierwszy wpadł na pomysł użycia stali do fonografu; zrobił maleńki elektromagnes i kazał mu porusząć się wzdłuż cylindra drewnianego, okręconego drutem stalowym. Zmiany w prądzie odbywające się za sprawą drgań głosowych, wywołują zmiany w magnetyzmie elektromagnesu, który udziela swych własności stali. Na drucie powstaje cały szereg poprzecznych magnesików, siła których i odległość pomiędzy sobą zależą od siły i wysokości dźwięków, otrzymywanych przez mikrofon.

Aparatem, odtwarzającym zapisane w powyższy sposób dźwięki, jest zwyczajny telefon Bella, który włączamy w jeden obwód z baterą i małym elektromagnesem zapisującym. Zachodzi tutaj odwrotne zjawisko; przez mikrofon i przez notujący elektromagnes przepływa normalnie prąd stały; skoro jednak puścimy w

ruch cylinder, rozmaicie namagnesowane jego części zaczną się przesuwać pod elektromagnesem i wzbudzą szybkie zmiany w natężeniu prądu, które w telefonie odtworzą dźwięki pierwotne; sprawa to, jak widzimy, bardzo prosta.

Od dawna starano się zlać w jedną całość telefon z fonografem, ale te zamiary nie udawały się. Jeżeli telefon mówił do fonografu, to dźwięki notowały się na walcu za słabo, jeżeli zaś fonograf mówił, to w telefonie mowa stawała się zupełnie prawie niezrozumiałą. Tymczasem w systemie Poulsen'a dzieje się inaczej: telefon nie otrzymuje bowiem dźwięków samych lecz wahnięcia w natężeniu prądu przebiegającego po jego cewce, na które jest niezmiernie wrażliwy; odtworzona w ten sposób mowa czy śpiew odznacza się nadzwyczajną wyrazistością.

Wynalazcy odrazu zrozumieli, że z małżeństwa pomiędzy tymi dwoma genjalnymi przyrządami przyjdą na świat techniczny bardzo ważne zastosowania. Najpierwszym potomkiem jest naturalnie telefonografia, o której marzono już od dwudziestu lat.

Oparty na sposobie Poulsen'a telefonograf wypuściło właśnie w świat berlińskie Tow. Akcyjne Mix & Genest.

Drut na cylindrze ma od k,6 do 1 mm. średnicy i wystarcza na prowadzenie całogodzinnej rozmowy; jeszcze lepiej służy cienka wstążeczka stalowa 0,05 mm. grubości.

Zanotowana magnetycznie rozmowa przechowuje się na stali od paru miesięcy do roku; zmazujemy ją, prowadząc drut pod osobnym elektromagnesem, o stałej sile, poczem można niezwłocznie zapisywać nową seryę dźwięków i t. d. do nieskończoności, gdyż stal nie ulega zużyciu. W razie życzenia jeden i ten sam elektromagnes służy do ścierania i notowania.

Telefonografia jest powołana do zrewolucyonizowania w przyszłości dziennikarstwa, dziś zaś oddać może ważne usługi kupcom, dziennikarzom, przemysłowcom itp.

Przypuśćmy, że ktoś ma u siebie telefonograf, połączony z miejską stacyą telefoniczną. Interesanci z miasta telefonują obstalunki np. albo kursy giełdowe; właściciel nie potrzebuje co chwila wstawać, może nawet wyjść z kantoru i załatwiać pilne sprawy; wróciwszy, puszcza w ruch swój telefonograf i wysłuchuje odrazu wszystkiego, co przez kilka godzin zakomunikowano mu telefonicznie.

Redaktor dziennika na godzinę przed ukończeniem numeru idzie do telefonografu i otrzymuje telegramy swoich korespondentów prywatnych, potem wprost łączy swój aparat z zecernią i każe składać wiadomości nie przepisane nawet. Ma się rozumieć, że z tych udoskonaleń, jak na dziś, korzystałyby dzienniki niemieckie, francuskie, amerykańskie i angielskie, bo u nas brak komunikacyi telefonicznej z miastami zagranicznemi.

Metoda powyższa doskonale nadaje się do równoczesnego rozsyłania wiadomości z jednego centralnego punktu do wielu innych, np. z ajencyi telegraficznej dziennikom, albo z redakcyi dziennika abonentom, którym zależy na pośpiechu. W tym wypadku telefonograf składa się z szybko biegnącej po bębnach, taśmie stalowej bez końca. Na taśmie zapisujemy najprzód jakąś wiadomość za pośrednictwem mikrofonu i elektromagnesu, następnie *impresyonowaną* stal puszczamy w ruch tuż pod całym szeregiem magnesów, połączonych z telefonografami abonentów. Kiedy taśma przebiegnie pod ostatnim magnesem, zacieramy w sposób powyżej opisany wiadomość i zastępujemy ją świeżą.

Wszyscy abonenci słyszą telefonogramy z jednakową wyrazistością, bo taśma działa niezależnie na każdy aparat.

Przy dawniejszych telefonach i fonografach z walcami woskowymi urządzenie takie byłoby niemożliwem, jak to powyżej wyjaśniliśmy; tutaj telefon abonenta milczy, a na walcu nie notują się bezpośrednio dźwięki, lecz drgania prądu, działające na drut stalowy; skażenie mowy jest więc bardzo słabem, zwłaszcza że dzisiejsze telefony działają na wielką odległość.

Myślą już zastosować nowy wynalazek do szybkiego telefonowania, tak aby linia była zajęta przez najkrótszy przeciąg czasu. Uskuteczni się to jak następuje: taśma, na której zapisano dźwięki, obraca się dwa albo trzy razy prędzej, aniżeli wtedy, gdy abonent słucha; pomimo to działa ona całkiem sprawnie na złączone z nią aparaty; zapisane w szybkiem tempie wiadomości odtwarzają się wyraźnie, jeżeli puścić walec impresyonowany z normalną szybkością na stacyi odbierającej dźwięki.

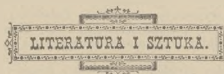
Współpracownik Poulsenu—Petersen—wynalazł już sposób równoczesnego przesyłania kilku rozmów po jednym drucie. Czy wynalazek Poulsena nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei, okaże się w niedalekiej przyszłości. Jeżeli telefonograf zaś będzie spełniał dobrze swe zadanie, to za lat kilkanaście na Zachodzie, gdzie życie płynie nieporównanie szybszem tempem, niż u nas, ludzie pozakładają specyalne agentury telefonograficzne, które będą za pewną roczną opłatą rozsyłały swoim abonentom wiadomości polityczne, sprawozdania z posiedzeń oraz zgromadzeń publicznych, z giełdy, wypadki, stosownie do życzeń. Giełdziarz lub sportsman chętnie poniesie pewne ofiary, byle tylko wiedzieć zaraz, jak stały obchodzące go papiery przed godziną w Paryżu czy Londynie, jaki koń wygrał derby... Znajdą się i zapaleni nowinkarze, którzy zaprenumerują najświeższe plotki.

Z każdego wynalazku mogą korzystać na równi ludzie poważni, jak i pospolici, na to niema rady.

Telefonografia do pewnego stopnia usunie niedogodności, jakie przedstawia dzisiejszy dziennik; prenumerator kupuje kilka czy kilkanaście kartek zadrukowanego papieru, ale rzadko kiedy czyta całą treść; zresztą, żeby przeczytać takiego *Timesa*, *New York Heralda*, *Journal des Debats*, trzebaby poświęcić kilka godzin czasu. Czyż więc nie lepiej płacić za to tylko, co nas interesuje?

Dziennikarstwo nie chce, czy nie może się specyalizować, więc dziennik telefonograficzny, obywający się bez kosztownego papieru, bez zecera i bez prasy, ma przed sobą przyszłość w społeczeństwach o zróżniczkowanych potrzebach i gorączkowym biegu interesów.

W. U.



LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

WIKTOR HUGO

i wielka poezya satyryczna we Francyi *).

Wiktor Hugo nie przestał być dla Francuzów chlubą narodową, „mistrzem," wielkim człowiekiem i wielkim poetą. Wszelkie jednak zapały i entuzyazmy, jakimi się przejmują, czcząc pamięć autora „Legendy wieków," nie przeszkadzają im wcale zdawać sobie dokładnie sprawy, na czem polega jego wielkość.

Ogół czytelników i krytyka literacka, gdy mowa o utworach W. Hugo, godzą się już, mniej więcej, na to, że: patetyczność jego dramatów dźwięczy fałszywie, powieści są bezcelową wikłaniną, filozofia epopei graniczy z absurdem! Wszyscy widzą słabe strony jego twórczości i wiedzą dobrze o tem, że W. Hugo nie należy do tych ludzi, którzy idei zawdzięczają swoją nieśmiertelność.

„W. Hugo — powiada H. Régnier, znakomity poeta współczesny — udziela innym tego, co sam odczuwa, nie wszczepia jednak w nich tego, co myśli... Jedna, jedyna siła wspiera gmach jego dzieła, siła żywotna, którą posiadał w stopniu takim, jak nikt na świecie; jest ona tą jego władzą, za której pomocą podbija on wszystko, jest to *potęga słowa* w nim wszechwładna, niewyczerpana i wieczysta" (p. H. de Régnier: *Figures et Caracteres*, str. 98).

Najpewniej, na tej głównie stronie jego twórczości, zatrzyma się uwielbienie ogółu.

Właśnie świeżo wydana praca Pawła Stapfera: *W. Hugo i wielka poezya satyryczna we Francyi*, pokazuje nam, jak owa wszechwładna potęga słowa wyniosła W. Hugo, między innymi, na szczyty wielkiej poezyi satyrycznej. Ta władza cudowna sprawiła to, iż stał się on natchnionym wyrazicielem prądów umysłowych swego czasu, pomimo małej głębokości swoich natchnień; pozwoliła mu idee cudze, nieoryginalne, owszem będące dla wszystkich komunałem, przedstawić w niezwykłym blasku, który olśniewał i oszałamiał wyobraźnię.

Wielkie słowa, świetne wyrazy hypnotyzowały go, przemawiały najsilniej do jego umysłu, wstrząsały wyobraźnię mocniej, niż idee i przekonania, to też zrodziły wszelkie teorye religijne, polityczne, społeczne i moralne, jakich się trzymał w ciągu długiego swego żywota.

Zmieniał je, jak wiemy, parę razy w życiu, zmiany te wszakże nie były wywołane jakimś głębokim przełomem umysłowym, lecz ujarzmieniem wyobraźni przez słowa rozmaitego rodzaju. Przejście od rojalizmu do republikanizmu, od katolicyzmu do panteizmu było, w gruncie rzeczy, niczem innem, jak tylko zastąpieniem danego tematu literackiego, pełnego obrazów świetnych, wspaniałych i szlachetnych ruchów duszy — innym znowuż tematem, który mu się wydał o wiele bogatszym w to wszystko.

Hasła teoryj politycznych, wyznawanych przez W. Hugo kolejno, zapadały mu nieraz głęboko w duszę, wchodziły jednak tam zawsze przez wyobraźnię.

Za czasów reakcyi burbońskiej, kiedy pisał swoje „Ody i ballady," wyobraźnia W. Hugo upajała się takiemi słowami, jak: *Wiara, Obowiązek, Honor*. Wówczas wszystko, co było ich zaprzeczeniem, miało wartość negatywną dla umysłu jego, rządzącego się prawami kontrastu i gwałtownych przeskoków. Wolność wyobrażał sobie pod postacią potworu krwiożerczego, rewolucyę — pod postacią orgii i zniszczenia. Lud był dla poety tygrysem okrutnym. Voltaire'a nazywał małpą, zesłaną przez dyabła pomiędzy ludzi.

Wtedy to wyznawał, że posłannictwem poety jest wskazywać ludom drogę porządku, moralności i honoru.

W kilka lat później, po wyczerpaniu i należytem rozwinięciu tego rodzaju tematów literackich, kiedy przyszła kolej na inne, głośniejsze, przemawiające do ruchliwej wyobraźni poety, poglądy jego radykalnie się zmieniają. Lud jest podniesiony do godności Lwa, a legendarne przymioty króla zwierząt: wspaniałomyślność i siła spokojna stają się jego cnotami.

Voltaire przedzierzga się w Tytana, pasterza dusz, nauczającego ludzi obowiązku; staje się umysłem płomiennym, zbrojnym w szyderstwo, przed którym pierzchają stada dogmatów...

I posłannictwo poety zupełnie inaczej

*) Paul Stapfer: *Victor Hugo et la grande poesie satirique en France*.

teraz pojmuje. Już nie o prostowanie błędnych ścieżek ludu teraz mu chodzi, gdyż czuje, że poeta powinien być sędzią ciemięzców, wzywa więc „muzę oburzoną,“ by swemi „pięściami potężnemi“ prowadziła ich pod pręgierz, znacząc czoła wierszem, który odczyta przyszłość. Przed wzrokiem jego wyobraźni migocą teraz słowa: Wolność, Ludzkość, Sprawiedliwość itp. Każde słowo tego rodzaju wstrząsa go niepomiernie, wykoleja i fanatycznie usposabia. Odzywał się o nich, jako o istotach żywych.

Doskonałym przykładem oddziaływania wielkich słów na umysł W. Hugo jest jego stosunek do Napoleona III, przed zamachem 2-go grudnia 1851 r. Wiadomo, że W. Hugo wierzył w L. Bonapartego i polecał go Francyi dlatego tylko, że ten takie samo nosił imię, jak jego wielki stryj. Z powodu kandydatury Bonapartego pisał o nim w r. 1848: „To imię, Napoleon, jakimkolwiek jest człowiek, który je nosi, zawsze oznacza Marengo, Austerlitz, oznacza również wspomnienia i nadzieję... Mojem zdaniem, gdyby nawet p. L. Bonaparte był tylko *imieniem*, Francya zawsze dobrze postąpi, jeżeli się oświadczy za tem imieniem olbrzymiem.“

Wszystko, co mówi Stapfer o prawach rządzących wyobraźnią poetycką W. Hugo, o wszechmocy wielkich słów, upodobaniu do kontrastów, antytez, o przesadnej egzaltacyi, która go zamykała często w ciasnem kole namiętności chwilowych, wszystko to jest prawdziwem i trafnem. Niepodobna wszakże tą dowcipną teoryą (urok wielkich słów), potrzebą zmiany słownika i. obfitszych w olśniewające obrazy, tematów literackich tłomaczyć głębszych przełomów duchowych W. Hugo, które niewątpliwie istniały w jego życiu. Cała np. działalność W. Hugo po zdradzie Napoleona III, po zamachu stanu 1851 r., nie była wyłącznie czczym popisem retora, dla którego pogoń za grzmiącem słowem była jedynym celem, istotą działania. Wszak mógł, wzorem wielu swoich przyjaciół, takich choćby, jak Sainte Beuve, pogodzić się z uzurpatorem, mógł się urządzić jak najwygodniej w nowem położeniu, jednakże tego nie zrobił, był bowiem zanadto dumnym, zanadto szlachetnym i głęboko nienawidzącym przewrotne rządy „małego Napoleona. (Tak samo, jak w 1871 r. mógł nie potępiać Wersalczyków, a jednakże nie powstrzymał się od tego).

Wolał więc długoletnie wygnanie, tęsknotę do kraju, gorycze tułactwa, niż kompromis z nikczemnością. A trzeba mieć na względzie, że zrobił to wówczas, kiedy stał u szczytu powodzenia, kiedy miał wszystko: bogactwo, sławę, miłość Francyi, a w dodatku 50 lat skończonych, co również mogło zachęcać do spokojnego używania dóbr zdobytych. Mimo to nie wahał się pójść za głosem sumienia. Jako poeta, jako twórca został za to sowicie wynagrodzony. Samotność wygnania skupia jego siły zbyt skłonne do rozpierzchania się; gniew, uraza, duma i oburzenie wzmagają potęgę jego ducha, wyzwalają tajemnicze, drzemiące władze. Hugo ulega głębokiemu przekształceniu i odtąd staje się prawdziwie wielkim, niezrównanym poetą satyrycznym, wznosi się na najwyższy stopień swojej twórczości. Na wygnaniu bowiem powstały takie dzieła, jak: „Kontemplacye,“ „Legenda wieków,“ „Pieśni ulic i lasów.“ Tu również stworzył „Les Châtiments“ (Kaźnie), rzadki w literaturze francuskiej zbiór satyr lirycznych i ten rodzaj podniósł do nieznanych przed nim wyżyn wymowy wspaniałej, siły protestu, werwy w piętnowaniu tego, co uważał za złe i wrogie ludzkości. Dawna satyra klasyczna była rodzajem kazania wierszowanego, rozprawą moralizującą, zaprawną odrobiną ironii i dowcipu. Oburzenie jej było poprawne, konwencyonalne, przewidziane z góry, unikające samorzutnych i szczerych wybuchów liryzmu.

Rozjątrzona i oburzona muza W. Hugo wyrwała satyrę z tego szablonu klasycznego, wypełniła ją po brzegi niepohamowaną namiętnością, szałem i nieustannem wrzeniem uczuć, płynących z serca prawdziwie zranionego i cierpiącego.

P. Stapfer podkreśla fakt, że ten rodzaj twórczości jak najlepiej odpowiadał naturze talentu W. Hugo, celującego przedewszystkiem w wyrażaniu uczuć ponurych i gwałtownych, gniewu, nienawiści, pogardy, mniej w oddawaniu uczuć miękkich i czułych.

W. Hugo już w zaraniu swego zawodu zrywa z tradycyą opiewania rzeczy słodkich i miłych: miłości, rodziny, natury, kwiatów wiosennych i liści jesieni i świadomie dodaje do lutni swojej „strunę ze spiżu“ — jak sam powiada — w poczuciu obowiązków swoich, jako człowieka, członka społeczeństwa i syna wieku swego. Już w „Feuilles d'Automne“ poprzysięga walkę nieubłaganą z tem wszystkiem, co uciska i znieprawia ludzkość, grozi wszelkim potęgom mroku, katom wolnego ducha ludzkiego. Cierpienia osobiste, związane ze znanymi wypadkami życia politycznego Francyi, podnoszą wciąż zawziętość poety, namaszczają go niejako na tę walkę, zwiększają brzmienie owej „struny ze spiżu.“ Najpotężniej dźwięczy ona po r 1851. Od tej chwili jest Hugo, podług własnego określenia, *au centre de tout comme un echo sonore.*

Znaczną część pracy swojej Stapfer poświęcił rozpatrzeniu stosunku poety do rozmaitych przedmiotów jego poezyi satyrycznej, przegląda wszelkie jej tematy.

Najsłabszym okazał się W. Hugo w satyrze dotyczącej człowieka w ogóle, jego ułomności, nędzy istnienia, jałowości wysiłków itp. Wszelkie wykrzykniki poety, wywołane rozważaniem nicości świata i człowieka, są pospolitymi komunałami, oklepankami wprawdzie brzmiącemi wspaniale ale pustemi wewnątrz. Filozofem W. Hugo nie był, a jedno z praw kierujących jego twórczością, prawo upraszczania (*simplification*) ubożyło jego psychologię i niepozwalało mu głębiej zajrzeć w serce człowieka.

Dość płytko również deklamuje na temat Boga i religii naturalnej, którą rozumie „jako powrót do szczytnej niewinności pierwotnej, powrót do rozumu, do światła“

Żywiołowa potęga W. Hugo występuje dopiero, w całym przepychu i urozmaiceniu, w jego satyrze politycznej i społecznej. Ideały polityczno-społeczne W Hugo, dadzą się skupić dokoła słowa: *postęp*, które magicznie działało na jego wyobraźnię.

Rozszerzenie wiedzy wśród mas; światło wypierające występek, zbrodnie i nędzę; ludy panami własnych losów; Koniec wszelkich dogmatów; rzeczpospolita powszechna; wojna, kara śmierci, granice pomiędzy narodami — zniesione, wszyscy ludzie braćmi jednej wielkiej, kochającej się rodziny: oto wizye, naiwnie - rzewne i wspaniałe, jakie słowo *postęp* stawiało przed olśnionym wzrokiem W. Hugo.

Wszystko, co szło im wbrew, co urągało ich świętości, co w życiu społecznem i naturze ludzkiej było im wrogie i urzeczywistnienie ich odwlekało, wszystko to ściga niemiłosiernie W. Hugo, piętnuje rozpalonem żelazem swego słowa, prowadzi przed trybunał swego oburzonego majestatu. Nikt z większą zaciętością, ogniem świętym i zgrozą nie smagał i gromił wszelkich nadużyć siły, wszelkich zbrodni władzy i sprawiedliwości ziemskiej, nikt uporczywiej nie demaskował wszelkich potęg mroku.

Na wiele jego wybuchów, uniesień i gniewów, niejeden może spoglądać dzisiaj z uśmiechem sceptycyzmu na ustach: łatwość tego wszystkiego jest widoczna, a miotanie się ustawiczne nieraz komicznie nastraja. Mimo to trudno nie mieć podziwu dla tej szczególniejszej organizacyi duchowej, wiecznie rozpłomienionej, nadmiernie wrażliwej, gotowej zawsze do gwałtownych ruchów oburzenia — do paroksyzmów wzniosłości. Autor książki pokazał nam lepsze strony twórczości poety, który wiernie służył zasadzie życia swego: *Honte au vain philosophe à l'artiste inutile qui ne met pas son sang et son coeur dans son style* *).

Wł. Jabłonowski.

Z MUZYKI.

Lwów, 10 czerwca.

J. Paderewski: *Manru*, opera w 3 aktach. Słowa A. Nossiga, przekład polski St Rossowskiego.

Melodramatyczna trochę, chwilami naiwna w treści, ale owiana tchnieniem szczerej poezyi, pierwsza część „Chaty za wsią“ Kraszewskiego dostarczyła p. Alfredowi Nossigowi wątku do libretta i natchnęła Paderewskiego do skierowania swej twórczości na szerokie fale kompozycyi operowej w wielkim stylu. Jeżeli muzyka ma być przedewszystkiem wyrazem najgłębszych i najskrytszych stanów ducha, jego tęsknot, porywów i pragnień, których często niepodobna uchwycić i zamknąć w zbyt mało wymowne ludzkie słowa, to rzeczywiście znany powszechnie utwór Kraszewskiego, którego treść istotna i tragizm cały polega, zdaniem naszem, na rozdźwięku między przywiązaną w gruncie rzeczy do chaty ojców i do wioski rodzinnej duszą młodej kobiety a napół nieuświadomionem dążeniem jej męża-cygana w świat szeroki, jego tęsknotą do niezależności i swobody, do przygód i wrażeń wolnego życia Eramanców—nadaje się, jak mało który z naszych utworów powieściowych, do ilustracyi muzycznej. Pewne obawy budziło tylko pytanie, jak się wywiąże z trudnego zadania kompozytor, który dotąd zdumiewał głównie świat europejskich i amerykańskich melomanów, jako wprost nadzwyczajny wykonawca fortepianowy utworów cudzych, a w dziedzinie twórczości muzycznej we właściwem tego słowa znaczeniu, chociaż już przeszedł czterdziestkę, znany był tylko, jako autor rzeczy pomniejszych, choć melodyjnych i wartościowych, jak tańce polskie, elegia, szereg pieśni z tekstem polskim, niemieckim i angielskim, pieśni wędrowca, sześć pieśni do słów Mickiewicza, Fantazya polska, Legenda, jedna wreszcie sonata na skrzypce i fortepian i jeden Koncert na fortepian i orkiestrę.

Otóż niewątpliwe zwycięztwo, odniesione przez znakomitego wirtuoza w tej względnie nowej dla niego dziedzinie, i to zwycięztwo na scenie drezdeńskiej, wobec cudzoziemców, dla których dotąd opera polska tak dobrze, jakby wcale nie istniała, tłómaczy i usprawiedliwia poniekąd to hołdy, ten zapał niebywały, z jakim, jeszcze przed poznaniem „Manru“, przyjmowano jego twórcę we Lwowie, wieńcząc jego skronie w laury i paląc przed nim kadzidła, należne niemal od narodu jakimś wyjątkowym bohaterom. Przyznać zresztą należy, iż przyzwyczajony do hołdów Paderewski umiał miarkować te przesadne niekiedy wybuchy i nawet zręcznem wymówieniem się od uroczystego bankietu uniknął potoku galicyjskiej i specyalnie urzędowo-lwowskiej wymowy, której upajającego nektaru zakosztować tylko dane mu było na wstępie.

*) Hańba marnemu filozofowi, artyście bezużytecznemu, który nie wkłada krwi swojej i serca swego, w styl swój.

Lecz pominąwszy trąby i puzony przesadnej reklamy, nie mogącej pojąć tej prostej prawdy, że napisanie ładnej opery jest tylko — napisaniem opery, niczem więcej, a więc faktem tej samej mniej więcej doniosłości artystycznej i społecznej, co, dajmy na to, stworzenie pięknego poematu lub obrazu, pominąwszy — mówię — te orgie bałwochwalczych skoków i podrygów, odprawiane u nas od pewnego czasu systematycznie około każdej wybitniejszej jednostki, która umiała sobie zdobyć poklask i uznanie tłumów, stwierdzamy chętnie fakt, że „Manru“ Paderewskiego jest dziełem zajmującem, wywierającem silne i naogół nader dodatnie wrażenie nietylko na muzykach lub znawcach muzyki z powołania, lecz i na śmiertelnikach zwykłych w rodzaju niżej podpisanego, który miał sposobność, w charakterze sprawozdawcy *Prawdy*, uczestniczyć w pierwszem przedstawieniu tej opery na scenie lwowskiej.

Bez uwertury dłuższej, po kilku rzewnych tonach fujarki, podniesiona kurtyna ukazała oczom widzów ładnie namalowaną wieś góralską, a dalej, w głębi, wspaniałe Tatry w blaskach zachodzącego słońca. Ze sceny odzywa się smutna skarga Jadwigi, matki głównej bohaterki utworu, wyrzekającej na los, który jej ukochaną gołąbkę-córkę pozwolił zabrać „czarownikowi-cyganowi.“ Kontrast z tą skargą Jadwigi stanowi wesoły, żywy, melodyjny chór dziewcząt wiejskich, zajętych wiciem wieńców na uroczystość dożynkową. Wesołość ogólną mąci nagle zjawienie się Uroka, wybuchającego na wstępie śmiechem bezmyślnym i przyjętego przez oba chóry, na które podzieliły się śpiewające dziewczęta, trzymanemi w żywszem jeszcze tempie okrzykami: „Urok, żmija, djabeł sam!“ Jest to zresztą niewinne dosyć dyablątko, a raczej upośledzony od natury, prześladowany przez wieś całą, budzący w niej jednak pewną zabobonną obawę, półwaryat wiejski, postać, odpowiadająca głupiemu Jankowi z „Chaty za wsią“ i zbliżona do niego w ogólnym rysunku, tylko że w operze podniesiono jeszcze jej melodramatyczny charakter, niezawsze natomiast usprawiedliwiając logicznie ukazywanie się go i zachowanie na scenie. Urok jest widocznie zajęty Ulaną, staje w jej obronie i w przerywanych przez szydercze okrzyki chóru *recitatiwach* usiłuje zmiękczyć dla niej serce matki, lecz otrzymuje odmowę stanowczą: „Dopóki jej mężem ten czarci syn— ja nie mam jej!“

Ukazuje się wreszcie Ulana (Motruna z „Chaty za wsią“), a od skargi jej bolesnej, z którą się zwraca do zebranych dziewcząt („Czy wobec was choćby najmniejszą winę mam?“), od smutnych dyalogów z Urokiem—dziwnie odbijają bardziej jeszcze szydercze wybuchy drugiego chóru i jego przepowiednia złowroga: „Ledwie księżyc w pełni wstał już cygana bierze szał, rzuca żonę, dziecko rad, byle szybko pomknąć w świat!“ Ładny, oryginalny, pełen życia motyw pieśni, rozwinięty potem symfonicznie przez orkiestrę. Następuje pełen dramatycznego napięcia dyalog między Ulaną a jej matką, która, pomimo miłości dla córki, nie chce się zgodzić na przyjęcie i uznanie za syna „poganina i włóczęgi“ i ostatecznie odpycha wierną mu żonę z przed progu rodzinnej chaty, wyrywając z jej ust i z jej serca tchnące najgłębszą boleścią słowa: „Matka przeklina mnie rodzona, do matki mej nie śmiem zbliżyć się“... W następującym zaraz potem dyalogu z Urokiem, Ulana z pewną kokieteryą stara się uzyskać od niego napój miłosny, mający zapewnić jej miłość i wierność męża. Oryginalne, pełne dzikiego uroku i porywającej werwy tańce góralskie kończą akt pierwszy, obfitujący, jak widzimy, zarówno w wybuchy liryczne, jak i w efekty dramatyczne, trzymający od początku do końca uwagę słuchacza i widza w napięciu, a nie pozbawiony bynajmniej ustępów melodyjnych, osnutych na blizkich nam, swojskich i przemawiających do serca motywach. Ukazanie się przy samym końcu tego aktu męża nieszczęśliwej Ulany, cygana Manru (Tumry z „Chaty za wsią“), wywołuje groźne, wybornie przez orkiestrę ilustrowane starcie pomiędzy nim a nienawistnie usposobioną gromadą, załagodzone zresztą chwilowo przez wdanie się Jadwigi.

Tchnienie Wagnera, którego wpływ daje się uczuć w całej operze, w tem zwłaszcza wysunięciu na pierwszy plan orkiestry, uwypuklającej znakomicie uczucia i nastroje głównych postaci, występuje wyraźnie w akcie drugim, uważanym zresztą przez wielu krytyków nietylko za najlepszy w całym dramacie tonicznym Paderewskiego, lecz wprost nawet za świetny bezwzględnie, za jednolity, potężny, przynoszący zaszczyt talentowi twórczemu i pomysłowości muzycznej kompozytora. Zasadnicza myśl opery, kontrast między duszą cygańską a góralską, znajduje wyraz na wstępie w tęsknym śpiewie Manru, wyznającego przy akompaniamencie uderzeń młota (rzecz odbywa się przed nędzną chatą pod cmentarzem, stanowiącą siedzibę wyklętej przez gromadę pary), że zazdrości swobody braciom-cyganom, że tęskno mu do włóczęgi młodych lat. Jakby w odpowiedzi na to daje się słyszeć z drugiej strony sceny prześliczna, choć krócíutka, piosnka przy kołysce Ulany, widzącej w kołysanem do snu dziecięciu najdroższy skarb serca. Do najpiękniejszych ustępów opery należy dalej w tym akcie dochodzące z sąsiedniego lasu solo skrzypcowe. To skrzypek cygański Jagu wygrywa gdzieś w dali czarowną dla takiego dziecka cyganów, jak Manru, melodyę, której urokowi i potędze, pomimo ironicznych uwag waryata wioskowego, już, zda się, mąż Ulany oprzeć się nie potrafi. Lecz jeszcze nie nadeszła chwila. Silniej od zgrzytów ironii, od względów na dziecko i żonę, oddziaływa na niego podany przez Ulanę napój miłosny. W duszy cygana następuje przewrót niespodziany, wywołujący ten prześliczny duet miłosny z Ulaną, który stanowi zakończenie drugiego aktu i koronę dzieła całego.

Przeniesienie akcyi opery ze wsi wołyńskiej (jak w powieści Kraszewskiego) w Tatry dało znowu pole w akcie 3-m do prześlicznych efektów dekoracyjnych: jezioro w górach, noc, walczący z chmurami księżyc, mający przytem w operze pewne symboliczne znaczenie. Na scenie, jak uciekający w góry przed żoną Henryk w „Dzwonie zatopionym“ Hauptmann'a, zjawia się Manru, pobudzany przez tajemniczy głos z dali: „śmiało, śmiało naprzód wciąż!“ Siły opuszczają go wreszcie, chwieje się i pada, a orkiestra wspaniałą symfonią ilustruje sen, w którym wspomnienie Ulany walczy z wrodzonym cyganowi pociągiem do wolności i ciągłej zmiany widoków. W orkiestrze przeważa teraz tempo marsza cygańskiego, i oto nadciąga z gór siła nowa, mająca zdecydować o losach bohatera dramatu: zbliża się cały obóz cygański z grajkami na czele i z uroczą cyganką Azą, której obraz, ukryty gdzieś w głębi duszy, nosił Manru zawsze z sobą. Chór cyganów i dziewcząt cygańskich intonuje energiczną pieśń, „Naprzód, naprzód w pochód śmiały, wabić zwodzić nam świat cały“—muzyka przybiera stanowczo charakter węgiersko-cygański.

Nie możemy zatrzymywać się szczegółowo nad efektami muzycznymi i dramatycznymi, w które obfituje akt trzeci. Manru, naturalnie, nie zdoła się oprzeć kuszącemu czarowi Azy; Ulana, widząc, że go traci na zawsze, rzuca się, jak Halka, w nurty jeziora, lecz i na jej mężu mści się los nieubłagany, podnosząc przeciw niemu zadrosną dłoń wodza cyganów Orosa, który go strąca w przepaść przy odgłosie szatańskiego śmiechu Uroka. Tempo marsza rozbrzmiewa do końca. Do ostatniej sceny zdołał również autor utrzymać w najwyższem napięciu uwagę widzów, na których opera jego wywarła we Lwowie wrażenie olbrzymie.

Przyczyniła się do tego niewątpliwie zarówno wspaniała wystawa i doskonale zestrojona orkiestra, jak i zupełnie zadawalające wykonanie ról pojedyńczych. Świetnym, zarówno przez piękny głos, jak i grę mistrzowską, przedstawicielem roli tytułowej był p. Baudrowski, który w operze Paderewskiego wystąpił we Lwowie gościnnie i, jak zapewnia sam autor, przewyższył nieskończenie wykonawcę tej samej roli w Dreznie. Lecz i siły miejscowe, jako to pp. Ruszkowska, Kasprowiczowa, Strassernówna, Schuppówna, Szymański, Jeromin, Paszkowski — nie pozostawiały naogół nic do życzenia. Pierwsze miejsce należy się wśród nich młodej śpiewaczce, pani Ruszkowskiej, która w roli Ulany dowiodła, że posiada zarówno piękną i wdzięczną skalę głosu, jak i ogólne poczucie artystyczne.

Wł. Bukowiński.



POGRZEB.

Kościół był cały w czarne obleczony kiry
Z białym haftem w piszczele na krzyż, w trupie [czaszki—
W aksamitnych ornatach w srebrne adamaszki
Kler śpiewał przy ołtarzu „requiem“ w dymach [myrry.

W to czarne państwo Śmierci zajrzał dzień ró- [żany
Przez okna i z przelękiem cofnął zbladłe lice
Za płótna. — Wielkie tylko gorzały gromnice,
Las pni z wosku, rozkwitły w świateł tulipany.

Recitativa w dole, śpiew brzmiał w górnej strefie,
Z trybularzem co chwila klękały alumny —
Na stopniu wysokiego katafalku trumny
Klęczałam ja.... w żałobie grubej, w czarnym [kwefie...

Komuż tak do snów wiecznych nuciły śpiewaki,
Złożywszy go do trumny, wieczności kołyski?
Nie wiedziałam! — Ktoś drogi mi, ktoś bardzo [blizki,
Lecz nie mogłam przypomnieć sobie, kto to taki.

Nagle umilkły śpiewy... i za tym sygnałem
Ujęli mię pod ręce i wiedli przez stopnie,
Zwężające się w górze, wysoko okropnie,
Każąc mi się pożegnać ostatni raz z ciałem.

O! ten pochód trwał wieki!.. pot mi lał się z czoła,
Stanęłam wreszcie... wieka odchylili tracze,
Czułam, że straszniejszego nad śmierć coś zo- [baczę...
W trumnie zamordowany leżał trup Anioła!

Ten Anioł?!.. To ja byłam w mego życia wiośnie,
Z piersią przebitą, z której przez otwór głęboki
Ze zranionego serca ciekły dwie posoki...
A usta były jeszcze złożone miłośnie.

Dwiema krwiami buchała wielka w piersiach [szpara,
Zbryzgując katafalku płachtę aksamitną,
Krwią jak ogień czerwoną i drugą błękitną —
To z serca uchodziły tak: miłość i wiara.

Co dalej było... nie wiem już!.. Po tym widoku—
Dotąd ten krzyk mam w uszach, jakem wtedy [krzykła,
Świat mi zatańczył w oczach, ziemia z pod stóp [znikła —
I runęłam z łoskotem w jakąś otchłań mroku.

Z tego snu, czy zemdlenia, czy może obłędu?..
Gdym otwarła—nic pomnę, jak prędko—źrenice,
Nad miastem stało słońce, tłum szedł przez ulicę,
I ja!.. lecz już do ludzi nie wchodziłam rzędu.

Szłam cicha, uśmiechnięta, w krep czarnych odzieniu —
Tak w tłumie chodzą wdowy strąconych mocarzy.
Nikt nie śmiałby ustami tknąć mej zimnej twarzy,
Ni do poufnych biesiad zwać mnie po imieniu.

Byłam, jak gość wśród ludzi ważny a daleki:
Ktoś gestem mnie ukaże reszcie towarzyszy,
I chwytam wzrok współczucia... mówią do mnie ciszej,
Schylając skroń z wyrazem względów i opieki.

To majestat nieszczęścia tę cześć w sercach budzi,
Czasem zbyt wielkie nad kimś losu okrucieństwo.
Tym hołdem świat otacza tych, których męczeństwo
I ból nadludzki wyniósł ponad ogół ludzi.

Marya Grossek.

SPRAWY EKONOMICZNE

NOWY WSPÓŁZAWODNIK.

Od lat kilku kapitaliści europejscy usilnie dążą do uszczęśliwienia za pomocą kolei żelaznych poddanych padyszacha tureckiego w Syryi, Mezopotamii i Azyi Mniejszej. Obecnie w krajach tych istnieje około 2,500 kilometrów toru kolejowego, a mianowicie: od Smyrny rozchodzi się kilka linij do Kassaba, Aidin i Semia; port Beirut połączono z Damaszkiem, port Jaffa z Jerozolimą, port Mersine z Adana. Najważniejszą wszakże jest linia, prowadząca od Haidar-Pasza (na brzegu Bosforusa, naprzeciw Konstantynopola) przez Eskiszcz do Angora, z odnogą od Eskiszcz do Konii. Ostatnie te linie są dziś w posiadaniu towarzystwa o nazwie francuskiej „Chemin de fer Ottomane d'Anatolie,“ ale faktycznie zostają pod kierownictwem niemieckiem, mianowicie „Deutsch Bank'u“ w Berlinie Otóż to konsorcyum zamierza obecnie ni mniej ni więcej, tylko przeprowadzić linię kolejową od Angory do Diarberkiru, stamtąd wzdłuż rzeki Tygrys przez Mosul i Bagdad do Basra i Kuweit nad zatoką Perską; od Konii zaś ma być przeprowadzona droga ku brzegom Eufratu, a przecinając w poprzek Mezopotamię, linia ta połączy się z pierwszą. Projekt ten, jak zapewniają, jest dziś blizkim urzeczywistnienia, co bank niemiecki zawdzięcza przedewszystkiem podróży Wilhelma II do Konstantynopola i „ziemi obiecanej.“ Jeżeli zaś Porta rzeczywiście zgodzi się na udzielenie tych koncesyj, to zapewne zgodzić się będzie musiała pod naciskiem dyplomatów na uwzględnienie projektów francuskich, belgijskich i angielskich. Tak np. Anglicy chcą budować od portu Aleksandretta nad morzem Śródziemnem do Aleppo, stamtąd wzdłuż brzegów Eufratu do Basra; Belgijczycy — kolej od Samsun przy morzu Czarnem do Bagdadu; Francuzi zaś planują całą sieć w Syryi.

Otóż, w razie urzeczywistnienia tych planów, kraje Azyi Mniejszej, Syryi i Mezopotamii staną się nowym współzawodnikiem w produkcyi zbożowej; napływ tego zboża na rynek wszechświatowy może doprowadzić do ponownego obniżenia cen zbożowych na rynku wszechświatowym, tak samo, jak swego czasu napływ zboża północno-amerykańskiego, a później argentyńskiego. Ruhland, profesor uniwersytetu fryburskiego, a zarazem dyrektor „międzynarodowego biura dla regulowania cen zbożowych,“ ogłosił świeżo broszurę, w której zestawił dane o możliwości rozwoju w tych krajach *). Otóż wszyscy podróżni, którzy zwiedzali w ostatnich czasach Azyę Mniejszą i Mezopotamię, twierdzą jednozgodnie, że produkcya zboża na wielką skalę jest tu możliwą. Już wywóz zboża koleją anatolską poucza o tem, że we właściwej Azyi Mniejszej rolnictwo obliczone na wywóz rozwija się szybko, jakkolwiek dwie linie tej kolei objęły tylko małą cząstkę kraju; wywóz ten wynosił w r. 1894 zaledwie 23,800 ton (po 100 kilogramów), w roku zaś 1898 — 410,000. Jeżeli więc sieć kolejowa pokryje kraj, to oczywiście należy oczekiwać szybkiego wzrostu produkcyi rolniczej i tem samem wywozu. Przytem należy brać pod uwagę, że dolina Mezopotamii nie bez słuszności słynęła dawniej jako kraina nader urodzajna; zawiera ona, zdaniem rzeczoznawców, pokłady wyborowego czarnoziemu, który też pokrywa po części doliny rzeczne Syryi. Co do obszarów gruntów, zdatnych do uprawy zbóż, niema dotąd cyfr dokładnych. Ruhland oblicza w przybliżeniu ten obszar na 40 milionów hektarów, tj. prawie tyle, ile obejmują grunty orne w Niemczech i we Francyi razem wzięte. Co do wydajności tych gruntów, Kaerger, poważny rzeczoznawca, podaje o czarnoziemie babilońskim cyfry takie: w roku nieurodzajnym zbiera się z hektara ziemi 9,9 do 13,2 centnarów metrycznych (po 100 kilogramów) z hektara; w latach średnich 24,6—33 centnarów; na dobrze uprawnym gruncie, unawożonym i zaopatrzonym w kanały wodne — 66 do 165 centnarów. Dodajmy, że w Niemczech np. zbierają przeciętnie 14—16 centnarów z hektara, a 60 centn. należy uważać za plon wyjątkowy przy najstaranniejszej uprawie i sprzyjających warunkach. Wobec takiej urodzajności gruntów oczywiście koszty produkcyi muszą być nizkie. Kaerger oblicza je dla Anatolii na 8 piastrów za 100 kilogramów, co odpowiada w walucie niemieckiej 5,92 marek. Tymczasem te koszty dla Argentyny podają na 6,45 marek, dla Indyj wschodnich na 6 marek, dla Stanów Zjednoczonych na 15,55 marek. Stąd więc wynika, że kraje Azyi Mniejszej stałyby się dla rolnictwa europejskiego groźniejszym współzawodnikiem, niż dotychczas wszyscy inni zamorscy, a to tem bardziej groźnym, że mniej odległym, ponoszącym mniejsze koszty przewozowe. Zboże np. ze stanu Dakota, aby dostać się na rynki Europy środkowej, musi przebyć drogę lądową w Stanach Zjednoczonych około 3,200 kilometrów, potem odbyć podróż przez Atlantyk i drogę lądową od portów europejskich; zboże zaś z Mezopotamii miałoby do przebycia nie więcej nad 500 kilometrów, następnie morzem niewielką przestrzeń od portów Azyi Mniejszej do Genui lub Marsylii, a stamtąd drogę po kolejach europejskich. Oczywiście więc koszt transportu zboża azyatyckiego będzie znacznie mniejszy.

Nie bez słuszności Ruhland twierdzi przytem, iż chodzi nietylko o ceny normalne, lecz również o ceny w latach nadzwyczajnie obfitego urodzaju w kraju wywożącym. W takim roku urodzajnym cena zboża spada tam znacznie, a przywóz tak wyjątkowo taniego zboża na rynki europejskie staje się ruiną dla rolników. Tak było np. w latach 1893 i 1894, kiedy Argentyna miała urodzaje nadzwyczajne, a wskutek tego cena pszenicy na rynku międzynarodowym spadła do niebywale nizkiego poziomu. Oblicza on zatem nominalne ceny produkcyi dla zboża mezopotamskiego w takim roku nadzwyczajnym i określa je na 1,66 marek za centnar, a z kosztami przewozu do rynków wewnętrznych Europy środkowej na 85 marek za tonę, z dołączeniem zaś cła niemieckiego — na 120 m., podczas gdy nawet w chwili największej depresyi, w r. 1894, cena na tych rynkach nie spadała poniżej 150 marek. Obliczenie to wydaje nam się nieco przesadnem, zarówno co do kosztów produkcyi, jak co do przewozu, Kwestyi wszakże nie ulega, że współzawodnictwo Azyi Mniejszej bezwarunkowo da się za lat kilka bardzo we znaki rolnikom Europy, a tem samem i naszym wytwórcom rolniczym.

Ruhland z powodu tego nowego współzawodnictwa rozwodzi się nad sprawą konkurencyi zbożowej krajów zamorskich wogóle. Dochodzi on do wniosku, że współzawodnictwo to stało się zabójczem dla rolników Europy nie wskutek większej urodzajności gleby w krajach, gdzie ziemia dotąd leżała odłogiem, nie wskutek dogodniejszych warunków produkcyi (zastosowania maszyn na wielką skalę, gospodarstwo wogóle racyonalne pod każdym względem), lecz wskutek obrotów finansowych spekulantów kapitalistycznych Europy! Chodzi mianowicie o to: Giełdy europejskie dostarczyły pieniędzy przedsiębiorstwom kolejowym zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak w Argentynie, a obecnie gotowe są dostarczyć pieniędzy na budowę kolei w Azyi Mniejszej; produkcya zaś rolnicza w tych krajach powstaje nie samorzutnie, lecz jest wynikiem właśnie budowy kolei. Zarówno bowiem w St. Zjednoczonych, jak w Argentynie, towarzystwa kolejowe otrzymywały od rządów nietylko ziemię pod tory kolei żelaznych, lecz nadto rozległe obszary, a na nich dopiero, nabytych za bezcen, osadzały farmerów. Następnie — mówi Ruhland—owe towarzystwa kolei egzotycznych bankrutowały raz po raz, ponieważ taryfy przewozowe na główny produkt, zboże, były tak nizkie, że nie pokrywały kosztów przewozu, a tylko dzięki tym taryfom zboże amerykańskie mogło być sprzedawane tanio na rynkach Europy. Na bankructwach zaś owych tracili ci, którym finansiści europejscy sprzedawali walory zamorskie — akcye kolejowe amerykańskie, papiery argentyńskie, tj. tracili posiadacze drobnych oszczędności w Europie. Europa tedy traciła na walorach amerykańskich miliardy, a te miliardy dały możność wytwórcom rolnym Ameryki podkopać byt rolników europejskich. Stąd Ruhland porównywa do bankrutów owe kraje zamorskie, wywożące zboże. Produkują one tanio dlatego, że zarwały swych wierzycieli, owych drobnych posiadaczy oszczędności, którzy nabywali akcye, a pośrednikami przy tem systematycznem bankrutowaniu byli kapitaliści, bankierzy Europy.

W tak ogólnej formie twierdzenie to nie ustoi się — naszem zdaniem — wobec krytyki. W krajach świeżo przystępujących do produkcyi rolniczej dla celów wywozu, cały szereg przyczyn składa się na to, że koszty produkcyi są niższe od kosztów takich w Europie zachodniej. Najważniejszym zaś czynnikiem jest to, że wytwórca kapitalistyczny nie ma tam do czynienia z przeżytemi formami, zwłaszcza w dziedzinie stosunków robotnika do właściciela ziemi. Drugim zaś decydującym czynnikiem jest taniość ziemi. To też sądzimy, że nawet bez bankructw towarzystw kolejowych w Ameryce, kapitalistyczne rolnictwo byłoby się tam rozwinęło szybko i mogło współzawodniczyć z europejskiem. Słusznem pozostaje tylko, że tani kredyt, zasoby kapitału, jakich dostarcza Europa, jest warunkiem nieodzownym dla rozwoju sił produkcyjnych w krajach zamorskich. Lecz tej prawdy nie odkrył p. Ruhland, jest ona znaną oddawna.

Środki, jakie proponuje on dla zapobieżenia owej groźnej konkurencyi, nie wy-

*) Ruhland: *Die internationale landwirtschaftliche Konkurrenz ein kapitalistisches Problem.* Berlin, 1901.

dają się nam również skutecznymi. Plan bowiem jego na tem polega, aby skierować w inną drogę depozyta składane dotąd w bankach, które następnie oddają te kapitały do rozporządzenia aferzystom giełdowym, gryndérom forytującym przedsiębiorstwa budowy kolei w krajach zamorskich. Mianowicie Ruhland domaga się, by depozyty te były powierzone spółkom kredytowym rolniczym. Gdyby jedyną dolegliwością rolnictwa europejskiego był brak kredytu, to możnaby rzeczywiście bardzo łatwo zapobiedz nieszczęściu, lecz tak nie jest. Uprzystępnienie kredytu powoduje przy ogólnych warunkach ekonomicznych w Europie li tylko nowe podrożenie ziemi, a wtedy wszystko pozostanie jak dawniej.

Karykaturalne stosunki, jakie wytworzyły się w rolnictwie, tak łatwo, niestety, przekształcić się nie dadzą; ku temu trzeba głębiej sięgających przekształceń ekonomiczno-społecznych, a ponieważ na drogę tych reform dotąd nie wstąpiło społeczeństwo europejskie, więc pozostaje jedno tylko: rozwój po przez szereg katastrof ekonomicznych, które w końcu do reform tych zmuszą. Jedną z takich katastrof, być bardzo może, będzie konkurencya Azyi Mniejszej na rynku zbożowym.

Dr. J. B. Marchlewski.

O prawdę.

Szanowny Panie Redaktorze!

W dwóch ostatnich numerach *Prawdy* p. dr. Stanisław Grabski rozbiera moją książkę: „Zarys ekonomii społecznej,“ nie zgadzając się ani na metodę mej pracy, ani w zasadzie na „konieczność“ nowych systemów ekonomicznych. Jest to sąd podmiotowy szan. autora „Metodologii nauki ekonomii,“ z którym spierać się na łamach *Prawdy* nie mam zamiaru, bo nie chcę obciążać tych łamów polemiką specyalną, ani osobistą. Pragnę jednak w tem miejscu zaprotestować przeciw błędnemu cytowaniu zdań z mej książki, a tem samem zbijaniu nie moich poglądów, ale takich, które przez szczególną hypnozę krytykowi wpadły pod pióro, a które on jednak ujmuje w cudzysłów. Tak więc w drugim artykule na szpalcie 3-ej przypisuje mi takie wyrażenie: „Stosunek użyteczności społecznej jest granicą *użytecznego pożytku dóbr*.“ Oczywisty ten nonsens budzi zdziwienie w krytyku i słusznie on pyta: „Co znaczy granica *użytecznego* pożytku? Czyż może być pożytek nieużyteczny?“ Dalej zaś w tymże okresie zostało mi imputowane zdanie następujące: „Wartość wymienna jest taką cechą kompensujących się użyteczności *naszych* *) przedmiotów.“ Jeśli pod całą cytatą p. Grabski czyni uwagę: „Doprawdy nie z tego nie rozumiem,“ to podziela tylko moje wrażenie, bo i ja nic nie rozumiem tych swoich własnych jakoby słów, a nawet więcej — bzdurstwa te wprawiły mnie w prawdziwe zdumienie. Okazuje się jednak, że w książce mojej na str. 27 są zupełnie inne wyrazy, a mianowicie: „Stosunek użyteczności jest granicą *ekonomicznego* pożytku dóbr“ i „wartość wymienna jest taką cechą kompensujących się użyteczności *różnych* przedmiotów.“ Być może, że, gdyby krytyk polemizował nie z urojoną cytatą, lecz z mojem własnem zdaniem, wnioski jego w tym przynajmniej punkcie wypadłyby nieco inaczej. W każdym razie mam prawo żądać, aby pod sąd czytelników *Prawdy* poddane zostały moje słowa, lecz nie nielogiczności, które mi p. dr. Grabski przypisuje i z któremi walczy.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

St. A. Kempner.

*) Jest to błąd drukarski, gdyż w rękopisie, po sprawdzeniu, znaleźliśmy *różnych*. *Red.*

WIADOMOŚCI URZĘDOWE.

Warsz. Dniewn. pomieścił następującą odezwę kuratora okręgu naukowego, który polecił rektorowi uniwersytetu tutejszego podać ją do wiadomości ogólnej:

„Na zasadzie § 104 ustawy uniwersytetu warszawskiego, który to artykuł zamieszczono też w przepisach dla studentów tegoż uniwersytetu (rozdz. X, § 8), na zewnątrz gmachu i instytucyi uniwersytetu studenci podlegają przepisom policyjnym, na zasadach ogólnych. Z drugiej strony, z mocy postanowienia obowiązującego generał-gubernatora warszawskiego z d. 12 stycznia r. b., zbiorowiska na ulicach są wzbronione i na żądanie policyi studenci obowiązani są rozejść się niezwłocznie, przyczem winni pogwałcenia tych przepisów podlegają aresztowi do miesięcy trzech lub grzywnom do 500 rb. Tymczasem w d. 20 kwietnia (3 maja) znaczna grupa studentów uniwersytetu połączyła się ze zbiorowiskiem na Nowym Świecie i pomimo wezwania osobitego oberpolicmajstra do rozejścia się, ruszyła wraz z innymi ku Alei Jerozolimskiej, przy której spotkało ją wezwanie powtórne policyi do rozejścia się, poczem, dotarłszy ulicami bocznemi do placu Św. Aleksandra, pomimo wszystkiego dążyła wzdłuż Alei Ujazdowskich, skutkiem czego część zbiorowiska została otoczona, a znalezionych w niem studentów zanotowano. Zgodnie z przytoczonym powyżej § 104 ustawy uniwersytetu i wspomnianem postanowieniem obowiązującem generał-gubernatora warszawskiego, zanotowani studenci podlegają, właściwie mówiąc, karze na zasadach ogólnych. Jednak, wskutek zabiegów władzy naukowej, wszczętych z uwagi na to, iż w przeciągu całego roku akademickiego studenci uniwersytetu warszawskiego nie objawili w niczem dążności ku pogwałceniu przepisów i porządku, władza cywilna kraju zgodziła się nie stosować do nich tym razem postanowienia z d. 10 stycznia r. b., a ograniczyć się tylko przedstawieniem administracyi listy studentów, zanotowanych d. 20 kwietnia. Zawiadamiając o tem studentów Cesarskiego uniwersytetu warszawskiego, władza naukowa wyraża przekonanie, iż studenci poczują się w obowiązku moralnym, usprawiedliwiając okazane im względy nieposzlakowanem nadal sprawowaniem.“

Zarazem kurator zaproponował rektorowi uniwersytetu zawezwać zanotowanych d. 20 kwietnia (3 maja) studentów. ażeby mu dali wyjaśnienie co do swego postępowania.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Po porozumieniu się władz rosyjskich z niemieckiemi postanowiono, że „półpaski,“ dające ludności pogranicznej prawo przechodzenia z jednego państwa do drugiego, wydawane będą na 28 dni od chwili przejścia granicy. Z prawa tego korzystać można tylko w ciągu 14 dni od wydania półpaska. po upływie których traci on swą wartość. Z przywileju powyższego, ze względu na przemytnictwo, nie mogą korzystać Żydzi tak z Rosyi, jak z Niemiec

— Senat rządzący postanowił, że od zakazu przyjmowania Żydów do służby cywilnej, określonego art. 9 ust. i zawartego w t. III. „Zbioru praw,“ wyd. 1897 r., obowiązujące prawodawstwo zezwala na następujące wyjątki: 1) posiadających stopnie naukowe doktora, magistra, kandydata (lub tych, którzy posiadają dyplomy 1 klasy), jak również stopnie naukowe doktora medycyny; 2) posiadających dyplomy na stopień lekarza, z prawem zajmowania posad tylko w zakresie swej specyalności; 3) posiadających stopnie inżeniera-technologa, z prawem służby tylko w zakresie technicznym i 4) geometrów, którzy otrzymali prawo do tytułu tego po ukończeniu odpowiednich zakładów. z prawem zajmowania posad tylko w gubernialnych zarządach mierniczych.

— Pomnik Adama Mickiewicza we Lwowie postanowiono wznieść u wylotu Wałów Hetmańskich. Budowę powierzono firmie włoskiej Pirovani, która daje największą rękojmię i nizką cenę.

— W Minesocie wydano prawo, wzbraniające chorym umysłowo, epileptykom i idyotom wstępować w związki małżeńskie. Prawo to mają wprowadzić także w stanach Indiana i Colarado, z zastosowaniem do ludzi bardzo ułomnych.

Szkoły. *Prawit. Wiest.* ogłosił okólnik ministra oświaty do kuratorów okręgów naukowych, zawierający postanowienie, ażeby prośby na imię ministra i wice-ministra, podawane przez osoby, znajdujące się w służbie ministeryum oświaty, składane były na ręce bezpośredniej władzy, która z odpowiedniemi wnioskami przesyłać je będzie do uznania ministeryum.

— Komitet naukowy instytutu technologicznego w Petsburgu rozpoczął obrady nad kwestyą reformy szkoły wyższej, podniesioną przez ministeryum oświaty.

— W Poznaniu odbył się wiec, w sprawie języka polskiego w szkołach. Uchwalono wysłać do ministra oświaty podanie o przywrócenie języka ojczystego we wszystkich zakładach naukowych ludowych i średnich w Księstwie.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że w instytucie inżenierów komunikacyi Cesarza Aleksandra I egzamina wiosenne dodatkowe odroczone zostały do jesieni.

— W Budapeszcie odbyło się tej zimy pierwsze wspólne zebranie nauczycieli pewnej szkoły ludowej i rodziców uczęszczających do niej dzieci. Naradzano się nad sposobami osiągnięcia wspólnemi siłami niezbędnych rezultatów wychowania, nad kwestyą odrabiania przez dzieci lekcyj po za godzinami szkoły i pomagania im w tych zadaniach. Wszyscy rodzice oświadczyli się przeciw uczeniu się dzieci po za godzinami szkolnemi. Pomaganie przy odrabianiu zadań uznano za szkodliwe pod względem moralnym wspólnictwo z dziećmi w kłamstwie i oszukiwaniu nauczycieli.

Egzamina lekarzy. Obcy poddani, z dyplomem doktora medycyny uniwersytetów zagranicznych, przy zdawaniu egzaminu lekarskiego w państwie rosyjskiem, zwalniani byli dotąd od obowiązku składania patentu dojrzałości, mieli też pozostawioną sobie swobodę w wyborze języka, używanego w Rosyi, do zdawania egzaminu. Obecnie ministeryum oświaty, uznając, iż powyżej wymienione ulgi dla cudzoziemców nie odpowiadają obecnemu poziomowi wykształcenia lekarskiego w państwie rosyjskiem, podniosło myśl zreformowania tych przepisów Lekarze cudzoziemcy składaliby w przyszłości egzamin w języku rosyjskim i tylko po okazaniu świadectwa dojrzałości odpowiadającego kursowi gimnazyów rosyjskich. (*Warsz. Dn.*).

Prasa ludowa. W Galicyi zaczął wychodzić dwutygodnik p. t. *Głos ziemi sandomierskiej*, z podpisem Wojciecha Więcka, włościanina z pow. Tarnowskiego, jako redaktora. Pismo to ma na celu sprawy gospodarcze i społeczne w zakresie potrzeb miejscowych.

Moralność. W Wiedniu sądzono niedawno ciekawą sprawę. Młody, 20 letni syn bogatej właścicielki wędzarni, Adolf Barth, oskarżony został przez gospodarza mieszkania, gdzie był sublokatorem, o zdemoralizowanie dziewięcioletniej jego córeczki. Dziecko poprzednio dobre i posłuszne, pod wpływem Bartha tak się popsuło, że ojciec był zmuszony umieścić je w domu wychowawczym, wskutek czego żądał odszkodowania w sumie 10,000 koron. Sąd skazał Bartha na zapłacenie 1,000 koron i rok ciężkiego więzienia.

Jubileusz. 400-tną rocznicę urodzin Benvenuta Cellini'ego obchodzono uroczyście w zeszłym miesiącu we Florencyi. Wmurowano tablicę pamiątkową w domu, w którym się urodził, a na Ponte Vecchio wzniesiono pomnik z popiersiem bronzowem artysty.

Ruch kobiecy. W Berlinie tej zimy doktorat filozofii otrzymały jednocześnie cztery kobiety: panny Joanna Schortzer i Marya Montgomery, pani Herter i Amerykanka Karolina Stewart.

— W Bombaju 53 mahometanek ukończyło w tym roku studya uniwersyteckie.

— Uniwersytet MC. Gill w Montreal, w Ameryce północnej, postanowił dopuścić kobiety, na równi z mężczyznami, do ubiegania się o takie stypendya których przeznaczenie ściśle przez fundatorów określone nie zostało.

— Towarzystwo matematyczne w Ameryce posiada 22 członków-kobiet w swem gronie.

— W Berlinie ma być wkrótce otwarta szkoła budownictwa dla kobiet, pod kierunkiem znanego architekta. Projektują urządzenie kursów dziennych i wieczornych.

— W lipcu upływa siódmy rok istnienia w Węgrzech „Szkoły związkowej gospodarstwa domowego.“ Codziennie od godz. 8 do 12 w południe panny, należące do średnio zamożnej klasy, od 6-ej do 9-ej wieczór robotnice przychodzą uczyć się gotować, prać, prasować, porządkować, ważyć, liczyć i rachunki prowadzić. Dla pierwszych opłata wynosi 12—14 florenów miesięcznie, dla drugich — 15 krajcarów dziennie, przyczem dostają jeszcze kolacyę. Szkoła cieszy się wielkiem uznaniem i posiada duży zastęp uczennic. Przełożoną jej jest pani Balazs, kobieta dzielna i gorliwie pracująca nad powiększeniem i rozszerzeniem instytucyi.

— W Budapeszcie otworzono zakład wychowawczy dla sług, który jednocześnie ma być dla nich schronieniem, gdzie za opłatą dziesięciu krajcarów miesięcznie służąca może uczęszczać do szkoły niedzielnej i przepędzić wolne popołudnie.

— Istnieje podobno w Anglii ciekawy zwyczaj kar pieniężnych, dowolnie przez panią domu nakładanych na służące za różne przewinienia: za późne wstanie np. 6 pensów, które potrąca się z jej zasług, za spóźniony o pół godziny powrót w dzień wychodny 7 szylingów 6 pensów tylko. Jaka to tam musi być potulna rasa tych dziewcząt służebnych, którym można takie warunki narzucić. Niechnoby spróbowano tego choćby na żart tylko z naszemi Marysiami i Kasiami!

— Na stanowisko doradcy prawnego w wydziale skarbowym w Washingtonie powołaną została pani Klara Greacen z Michigan.

Wystawa. W Lublinie otwarto wystawę sztuki i starożytności. Zgromadzono około 4000 przedmiotów, w tej liczbie wiele cennych i sięgających bardzo odległej przeszłości.

Przemysł i handel. *Pet. Wied.* donoszą, iż wydział handlowy ministeryum skarbu wraz ze specyalną kancelaryą kredytową opracowywa przepisy, zabraniające wypłacania przedwczesnymi kuponami. oraz wymiany ich i skupu przez kantory bankierskie

— Postanowiono powierzyć sprzedaż papieru i marek stemplowych zarządzającym wódczanymi sklepami skarbowymi, za co otrzymywać będą 2% od nominalnej wartości sprzedanych znaków stemplowych.

Zmarli. Dr. Maryan Hawranek, w zakopanem, w 35 roku życia.

— Sir Walter Bezant, powieściopisarz w Londynie.

— Robert Buchanan, krytyk i poeta angielski.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu M. Z. w M. Księgarnia Sennewalda, Krakowskie Przedmieście nr. 7.

Panu S. M. Drukować nie będziemy. Rękopis do zwrotu.

Redaktor i wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 31 Мая 1901 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.